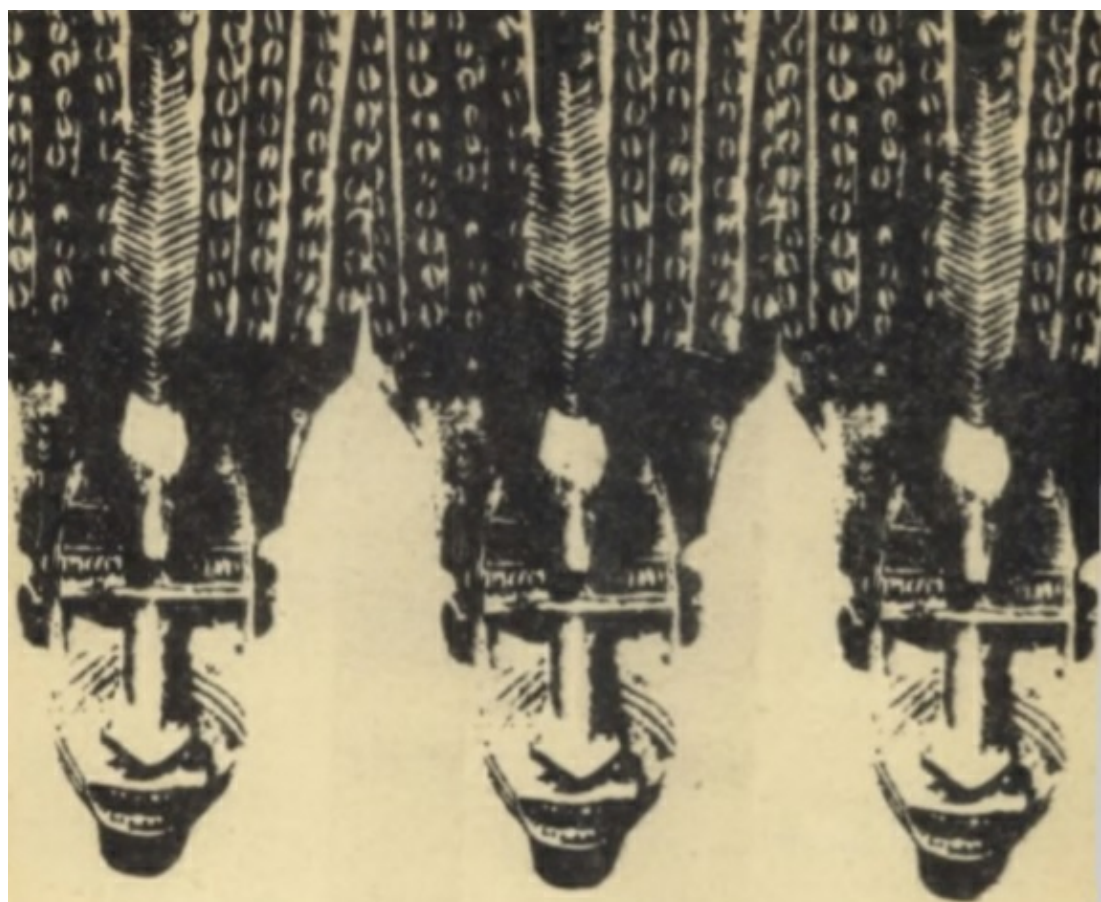




**Jan  
Mar  
strażnicy  
zmarłych**

K A  
T W



**Jan Mar**  
**strażnicy**  
**zmarłych**

Krajowa Agencja Wydawnicza — Szczecin 1986

# Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

# Rozdział 1

Stary Murzyn Maribou, wysoki i tak wychudzony, że pod czarną skórą rysowały się wszystkie zebra, o łysej czaszce i smutnych, głęboko zapadłych oczach ściągnął na dno łodzi brudny i połatany żagiel i już tylko wiosłując, dobił do burty statku „Oban”. Bez pomocy kogokolwiek ze statku przymocował łódź do opuszczonego sztormtrapu, zarzucił na plecy worek z afrykańskimi maskami, figurkami, przywiązał linkę cumowniczą do lewej ręki i wspiął się po stromo wiszącym sztormtrapie na pokład. Ze sterowni nikt nie wyszedł na spotkanie; Maribou nie spiesząc się zdjął z pleców worek, odwiązał z ręki linkę, przeciągnął ją przez kluzę w burcie, zrobił pętlę na najbliższym polerze. Spojrzał w stronę nadbudówki, zmrużył oczy w porannym słońcu, ostrym, z tropikalnym pośpiechem wynurzającym się zza widnokregu. Dźwignął z pokładu worek, ponownie zarzucił go na plecy i udał się w stronę nadbudówki. Wszedł po metalowym trapie, pomalowanym zieloną farbą, na najwyższy pokład, otworzył drzwi na korytarz i wewnętrznymi schodami przedostał się na piętro, gdzie były oficerskie kabiny.

- Ach, to znów ty - powitał go bez zdziwienia kapitan Achrem, nie podnosząc się z fotela, przeciwnie, wciskając się weń jeszcze głębiej, dużymi ciemnymi oczyma patrząc to na gościa, to na jego worek. - Na całej Zatoce Benin nie ma bardziej upartego od ciebie człowieka. - Odwrócił głowę w stronę drugiej części pomieszczenia, gdzie mieściła się obok pentry sypialnia. - Li, może ty potrafisz z nim rozmawiać, bo mnie brakuje już cierpliwości.

Z sypialni wyszła kobieta z długimi czarnymi włosami, jeszcze mokrymi po kąpielu. Była szczupła, wysoka, a odcień jej skóry świadczył o długim pobycie na redzie Lagos, tak długim jak postój statku „Oban”, który wraz z innymi pięciuset statkami oczekuje sześćdziesiąty ósmy dzień na wprowadzenie do portu. Piuwe oczy spojrzały ciepło na przybysza z lądu.

- Maribou - powiedziała tonem serdecznym i życzliwym, lecz stanowczo - nie oddamy ci rzeźb, za które zapłaciliśmy i uważamy, że odtąd są naszą własnością. Podobają się nam, zabierzemy je do kraju.

Murzyn rozwiązał worek, szybko wydobył z niego kilka rzeźb w hebanie i olejowcu gwinejskim.

- Zamienię na „strażników zmarłych” - zaproponował.

Żona kapitana Achrema uśmiechnęła się łagodnie. Za bardzo sobie ceniła zdobyte rzeźby, by mogła je oddać za byle jakie maski. Chief i trzeci oficer również nie oddaliby ich. „Strażnicy zmarłych” są rzeźbami wyjątkowymi, coraz rzadziej spotykanymi na Czarnym Lądzie. Prawie metrowa rzeźba przedstawia siedzącego na pniu drzewa człowieka z kijem w ręce, a za jego plecami, powyżej głowy, jest miniaturowa chata jak z kraju zuluskiego; w niej umieszczano czaszkę zmarłego.

- Proszę - powiedział z pokorą Murzyn. - Bardzo proszę - nalegał - oddajcie mi naszych „strażników zmarłych”, bo ani ja, ani wy spokoju nie zaznacie, jeśli nie wrócą na swoje miejsce.

Lilii, a mówiono o niej, że jest dwakroć szalona, raz - bo wyszła za mąż za marynarza, dwa - bo jako żona i dziennikarka wybrała się z mężem w ten długi rejs, siadła przy stoliku, sięgnęła po blok rysunkowy ze studiami ludzkich typów i zapominając o tym, z czym przyszedł Murzyn, zaczęła go szkicować z talentem dorównującym Watteau, którego studium murzyńskiego chłopca oglądała w Luwrze.

- No, słyszałeś, Maribou - powiedział kapitan do Murzyna - nikt ci nie odda rzeźb. Zapłacili za nie, drogo zapłacili i są ich.

Murzyn nie opuszczał salonu, martwym wzrokiem wpatrywał się w kobietę, wciąż czekał na zmianę decyzji.

Na kartonie na pierwszym planie pojawiła się czaszka, sucha, świecąca łysiną, na drugim, w lewej części, palce ręki ściskające pusty worek, w prawej części wychudzona, zapadła klatka piersiowa.

- No, idźże już, człowieku - zniecierpliwił się Achrem. - I nie trać w tej sprawie więcej czasu. A ja, chociaż tych makabrycznych rzeźb nie lubię, nie pomogę ci w ich odzyskiwaniu.

Murzyn zaczął zbierać z podłogi figurki, maski, wkładać je do worka.

- „Strażnicy zmarłych” szczęścia nikomu żywemu nie przyniosą - ostrzegł. - Oni nie żywym mają służyć, a zmarłym!

Kapitan uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Przyjmujemy cię grzecznie, głodny stąd nie odpływasz, a i zarabiasz na nas nieźle. Więc nie strasz nas zmarłymi.

Stary Murzyn skinął kilka razy głową, ale trudno było zgadnąć, czy oznacza to pogodzenie się z ostateczną decyzją kapitana, czy też jej dezaprobatę. Szurnął po podłodze workiem i wyszedł z salonu.

- Rozumiem tego człowieka - rzekł kapitan do żony. Gdyby spustoszone mój rodzinny grobowiec, też nie potrafiłbym przyjąć tego faktu spokojnie.

- Potępiasz mnie? - spytała Lili.

- Nie pochwalam ściągania na statek tego cmentarzyska. Nie jestem zabobonny, ale owe czaszki w rzeźbach budzą we mnie uczucie... Bo ja wiem, jak je nazwać? Wolałbym się ich pozbyć.

Lili odłożyła karton ze szkicem.

- Dzięki tej rzeźbie, jaką zdobyłam, mój drogi, nie żałuję postoju na redzie. Zdaje się, że kupiłam rzecz największej wartości, oryginalne dzieło, niezwykle. Mam takie wrażenie, że jeśli trochę popracuję - pchnę wiedzę o Afryce Zachodniej, o jej kulturze, obyczajach o krok naprzód.

Mężczyzna skarcił ją spojrzeniem.

- Nie grzeszysz skromnością, Li. - Podszedł do niej, pocałował w karczek, jeszcze pachnący europejską sosną, jej żywicą, wonią środków kąpielowych, jakich używała w łazience. Ach rem jest szczęśliwy, że młoda żona towarzyszy mu w tym rejsie, jest z niej dumny, bo imponuje nie tylko zaletami kobiecymi, ale potrafi także wprawić w podziw szerokim zakresem wiedzy, licznymi zainteresowaniami. Niepozorna, mała główka, o którą codziennie tak bardzo dba, ma encyklopedyczną wiedzę z wielu dziedzin i umie z niej, w razie potrzeby, robić użytek. Pogłaskał czarne włosy o aksamitnym odcieniu, przechylił jej głowę do tyłu, pocałował w gładkie, wysokie czoło, na którym, gdy gniewała się, pojawiała się z niebieskich żyłek wielka rzymska piątka.

Maribou odwiedził jeszcze pierwszego oficera i trzeciego, posiadaczy

„strażników zmarłych”, a rezultat jego próśb był taki sam jak w salonie kapitana. Nikt nie chciał się pozbywać cennych rzeźb, nikogo nie przerażały groźby Murzyna. Najdłużej zabawił w kabinie trzeciego oficera Bestry’ego Cowpera, skąd wyszedł podniecony, a zaraz za nim, z nie mniejszym ożywieniem na twarzy Cowper.

Murzyn poczłapał ze swym workiem na pokład spacerowy, rozłożył w cieniu figurki i maski, przysiadł z boku i cierpliwie czekał na kupców. Handel pamiątkami afrykańskimi nie szedł. Już od dłuższego czasu trudno było białych przekonać do masek powlekanych pastą do czyszczenia butów, do figurek produkowanych według jednego wzorca.

Lilii przechodząc koło wystawionego na pokaz towaru, zlitowała się nad sprzedawcą, stewardowi kazała przynieść posiłek dla Murzyna, sama wybrała figurkę starca wspartego na lasce, zapłaciła za nią tyle, ile żądał, nie targując się.

Szczupła, długa twarz Johna Ramsdella na widok pieniędzy podanych Murzynowi wydłużyła się jeszcze mocniej, uwidaczniając w ten sposób wielkie odstające uszy.

- Miłosierdzie - to kiepski doradca handlowy - zauważył. - Przepłacając za tę figurkę, zyskała sobie pani u Maribou wdzięczność, ale co by on pomyślał o mnie, gdybym poszedł w pani ślady?

- Podziwiałby pańską hojność.

- Nie, nazwałby mnie głupcem.

- Jest pan tego pewien?

- Znam go, on nas nienawidzi! Kto wie, czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy mu oddali owych „strażników zmarłych”. Możecie przez niego mieć kłopoty.

Maribou zamyślony patrzył na ocean, na skrzącą w słońcu powierzchnię wody niby spokojnej, łagodnej, falującej równomiernie pod kadłubami statków.

- Jak dotąd - powiedziała Lilii, przyglądając się zastygłej w bezruchu sylwetce Murzyna - takie obawy są bezpodstawne.

- Do czasu.

- Pan jest rasistą?

Ramsdell uśmiechnął się blado.

- W Anglii stać mnie na wspaniałomyślność wobec każdej rasy, tutaj, w Afryce przychodzi mi to z wielkim trudem.

- Widzę - stwierdziła Lili z przekąsem. - Nasz Maribou umrze z głodu, nim mu pan przyniesie coś do jedzenia.

Przeszła na pokład łodziowy, zrzuciła z siebie sukienkę rozpinaną z przodu od góry do dołu jak szlafroczek, wyciągnęła się na leżaku. Słońce, niebo zawirowało w jej oczach, zamknęła je, ale nawet pod zaciśniętymi powiekami widziała, czuła ognisty krążek, biały od żaru, usypiający jak magiczna kula.

- Li - obudził ją szept tuż koło ucha.

Zerwała się, odruchowo zakryła rękoma piersi.

- Prosiłam cię, żadnych kontaktów - powiedziała szybko, rozglądając się niespokojnie.

- Czy jutro wybierasz się do miasta? - spytał Bestry Cowper.

- Tak - odpowiedziała równie szybko, niespokojnie jak poprzednio. - Mam nadzieję, że nie będziesz chciał mi towarzyszyć.

- Przeciwnie, moja piękna - uśmiechnął się cynicznie - właśnie chciałem cię uprzedzić, że popłynę z tobą. Mam w mieście kilka spraw do załatwienia.

- Są aż tak pilne?

- Nie cierpiące zwłoki.

- A więc trudno, będę się musiała pogodzić z twoją obecnością.

- Zrobię wszystko, byś tego dnia nie wspominała najgorzej.

Lilii wstała, włożyła sukienkę, przeszła na kapitański pomost. W sterowni drzemał bosman Mintum, ponury drab, milczek, który zamustrował niedawno razem z Bestrym Cowperem, przeszedł na „Obana” z „Kalipso”. Zbudził go odgłos kroków, spojrzał niechętnie w stronę nieproszonego gościa.

- Może mnie pan połączyć z domem Wyatta? - podała mu numer telefonu. Bosman zsunął się z wysokiego fotela, podszedł do aparatu radiowego i znudzonym głosem zaczął wywoływać kapitanat portu. Lilii podeszła do bulaju, spojrzała na pusty pokład z łuszczącą się rdzą, ze śladami soli na pokrywach ładowni, wymarły, jakby opuszczony przez



załogę. Niedaleko „Obana” kołyszą się na falach Zatoki Benin inne statki, wiele statków, setki, ale wrażenia samotności na wielkiej wodzie i one nie potrafią rozwiązać.

Mintum dostał żądane połączenie.

- Harriet - krzyczy Lili do słuchawki - będę jutro w mieście. Jeśli nie masz planów na jutrzejszy dzień, wstąpię do ciebie i pochodzimy trochę.

- Li - odkrzykuje głos z łądu - będę na ciebie czekała. A może dasz się wreszcie namówić i przy płyniesz nie tylko na kilka godzin? Li, chciałabym cię zatrzymać dłużej, mam ci tyle do powiedzenia.

- Nudzisz się? Na łądzie można się nudzić? - udaje zdziwienie Lili.

- Bert tak często zostawia mnie samą - skarży się Harriet.

- Jeszcze nie teraz. Nie mogę - usprawiedliwia się Lili. - Ale mam nadzieję, że wkrótce będę u ciebie szukała schronienia na dłużej.

- Nie mogę się tej chwili doczekać.

- Badam wytrzymałość swojej psychiki - mówi Lili. - Czy wiesz, że wody już prawie w ogóle nie widzę? Mężczyźni też przestali się kręcić po pokładach, zamykają się w swych kabinach, gdzie, widocznie, łatwiej znosić to czekanie na wprowadzenie do portu.

- Li, jesteś szalona.

- Wiem o tym.

- A twój kapitan?

- Też wie.

- Nie macie siebie dosyć?

- Porozmawiamy jutro.

- Pozdrów go ode mnie.

- A ty Berta.

Zawiesiła słuchawkę na widełkach, lecz nie odchodziła, pozostawała w sterowni, jakby zastanawiając się nad czymś.

- Proszę wywołać „Stirlinga” - zwróciła się do bosmana. - Z przywołaniem kapitana Scarrona.

Znów bezmyślne patrzenie w bulaj, za którym kołysze się w słońcu pusty pokład, skaczą po zatoce srebrne rybki tropikalnego żaru, toną w modrości nieba czarne i czerwone, białe i zielone burty innych statków, a motorówka

„Ukunu” jak zielony żuczek płąsa między czerwienią a czernią, od bieli do zieloności.

- Kapitan Scarron przy telefonie - melduje bosman.

Lilii odbiera słuchawkę, lepką od potu, nagrzaną dotykiem ciała bosmana.

- Kapitanie - Lilii stara się, by w głosie było jak najwięcej serdeczności - zaniedbuje nas pan. Mąż już mnie zaczyna uczyć gry w szachy.

- Pani Li - cieszy się kapitan statku „Stirling” - ubiegła mnie pani o kilka minut. Właśnie chciałem dzwonić i spytać, kiedy będę mógł mieć przyjemność nacieszyć oczy pani widokiem?

- Jutro płynę do miasta.

- Życzę udanych zakupów.

- Zapraszamy na pojutrze. Niech się pan przygotuje na szachową potyczkę.

- Dziękuję za uprzedzenie. Mam w pani prawdziwą przyjaciółkę.

- Wątpił pan?

- Nigdy! - pospieszył z zapewnieniem kapitan.

Zawiesiła słuchawkę i wyszła na kapitański pomost.

Usłyszała zza burty plusk, wychyliła głowę. Maribou odwiązał już łódź od sztormtrapu, wiosłem odbił od burty. Na dnie łodzi leży worek z towarem, z którym popłynie na inny statek, potem na jeszcze inny. Dostrzegł Lilii. Powachlowała na pożegnanie ręką, lecz on nie odpowiedział żadnym gestem.



Klekot głosów murzyńskiego targowiska płynął w słonecznym żarze, w powietrzu falującym upałem, w pyłe, który nie opadał i nie unosił się wyżej. Dwie białe kobiety szły coraz wolniej, przeciwsłoneczne parasolki rozpostarte nad ich głowami niepewnie chwiały się w mdlejących rękach. Jarmarczne budy z różnorodną tandetą zaczęły ustępować sklepikom ze światowym bogactwem, pchającym się w wystawowe okna.

- Wciąż ci ulegam, Li - mówi wysmukła Harriet w niebieskiej sukni z dużym dekoltem, odkrywającym opalone ramiona, nieco piersi. A potem

żałuję, że tak łatwo mnie przekonałaś.

- Czy nalegałam, byś mi towarzyszyła? - spytała Lili nie kryjąc irytacji. Jest nieco wyższa od swej przyjaciółki, długie, gładko zaczesane włosy opadają na plecy równie mocno opalone jak smukłe nogi. - Przecież gdy nie ma w domu Berta Wyatta, to się nudzisz.

- Ach, Li, tak mi przykro, że go nie polubiłaś choćby ze względu na mnie.

- Wybacz Harriet, jeśli czymkolwiek cię uraziłam. Nie miałam takiego zamiaru, wierz mi. Na morzu człowiek dziczeje.

- Podziwiam cię. Li, dwa miesiące wśród mężczyzn! Przecież to większe poświęcenie, niż gdybyś była z Tarzanem wśród małp! O czym ty z nimi rozmawiasz?

- Jestem tam nie po to, by wzbogacać życie towarzyskie, przynajmniej nie wszystkim.

- Wiesz, Li - mówi Harriet - nigdy nie przypuszczałam, że się ustatkujesz. Pamiętasz swoje szaleństwa z Bestrym?

Lilii z domu Pointer nie przytaknęła. Harriet jest jej najlepszą przyjaciółką z okresu młodości, razem studiowały, wspólnie przeżywały wszystkie zaliczenia i egzaminy, pocieszały się w niepowodzeniach, dzieliły się radościami. Kiedy w życiu Lili pojawił się Bestry, Harriet znalazła się na drugim planie. Na krótko, bo gdy Bestry zamustrował na handlowy statek, Harriet znów zajęła w życiu Lili pierwsze miejsce. Wówczas dopiero opowiedziała jej o nocach w pensjonacie z oknami na diuny i Kanał la Manche, o szaleństwach w małych miasteczkach Flandrii. Harriet, słuchając Lili, mogła sądzić, że wkrótce straci przyjaciółkę, która wyjdzie za mąż za wspaniałego mężczyznę, tymczasem stało się inaczej: Lili usunęła ciężę, a kilka dni później powiedziała - z Bestrym koniec. I więcej do tego tematu nie wracała.

Skręciły w boczną uliczkę. Kurz wzbijany bosymi stopami przebiegających chłopców unosił się na wysokość głowy, zatykał usta. Tropikalny żar wyciskał z ciał pot, jego strużki spływały pod delikatnymi materiałami sukien.

- Co zamierzasz robić, gdy skończysz swe badania? - pyta Harriet, ocierając twarz jedwabną chusteczką.

- Wróć na ląd.

- Nie żałujesz, że wyszłaś za obieżyświata?

Lilii ma dwadzieścia sześć lat, nie jest piękna, ale jej uroda, odziedziczona po matce aktorce, powinna przyciągać uwagę niejednego mężczyzny, a łagodność spojrzeń piwnych oczu, nieco rozchylone jakby w naiwności dziewczęcej usta - być gwarancją ciepła i spokoju przy domowym ognisku.

- Też uskarżasz się, że często zostajesz w domu sama - przypomniała jej Lilii.

Bert Wyatt jest agentem Lloyds Register of Shipping. Kiedy na redzie stało pół tysiąca statków, ma pełne ręce roboty. Ludzi do pracy nie przybyło, za to obowiązków - co niemiara. Awarie, kolizje, zatonięcia, zniszczenia ładunków - to tylko część tego, co spędza Bertowi sen z oczu.

- Na przykład ostatnio niemalże na oczach załóg innych statków - mówi Harriet - zatонуła „Kalipso”. W ciągu kilku minut, jakby ktoś w dniu wywiercił wiele dziur. Tonęła jak sito. Na szczęście załoga była nieliczna i uratowała się.

- „Kalipso”? - powtórzyła Lilii.

- Bert podejrzewa celowe zatopienie statku przez załogę.

- Ale po co?

- Ubezpieczenie - stwierdziła lakonicznie Harriet. - Bert przypuszcza, że na tym statku ładunku dawno już nie było, że nim został zatopiony, sprzedano go tubylcom.

Lilii nie słuchała już dalszych wyjaśnień, myślała o Bestrym, który z „Kalipso” przemustrował na „Obana”, o tym, że dziś miał płynąć szalupą do portu, bo czekały na niego jakieś pilne sprawy, ale nie zabrał się, daremnie go szukano, na próżno nawoływano.

Harriet zatrzymała się przed oszklonymi drzwiami, za nimi nęciły trzymane w chłodziarce butelki z pepsi-colą, oszronione lekko, gwarantujące samym wyglądem ulgę w upale.

- Napijmy się czegoś - zaproponowała. - Nie tylko ty na statku odzwyczaiłaś się chodzić, ja także niewiele poruszam się pieszo.

W lokalu było mroczno i chłodno, kelner szybko postawił na stoliku

przed kobietami butelki z ciemnym płynem, żywo pieniając się w szklankach.

- Czy Bertowi udało się już wykryć jakieś ubezpieczeniowe przestępstwo? - spytała Lili.

- Jest na dobrym tropie - zapewniła Harriet.

- A więc przyszłość przed nim.

- Zapewne. Bardzo na to liczymy. Otrzymałby wielką premię, a wtedy nie musielibyśmy tu dłużej męczyć się. Tropik mi nie odpowiada.

Lilii nadpiła nieco ze szklanki.

- Chyba niełatwo wykryć takie przestępstwo? - powróciła do urwanego wątku rozmowy.

- Bardzo trudno. Jak udowodnić celowe zatopienie statku, gdy ten leży głęboko na dnie, albo podpalenie, gdy on spłonął? Można tylko liczyć na ludzi, na ich zeznania. Oczywiście, nikt za darmo nie chce się narażać. Jak dotąd Bert ma wydatki, ale w ostatecznym rozrachunku powinien zarobić.

- Chyba podejrzewa kogoś z „Kalipso”? - spytała Lili, nie patrząc na przyjaciółkę.

- Tak, ma już kontakt z kimś, kto może się okazać przydatny. Bert mówi, że Biały Diabeł wysoko sobie ceni swe usługi, lecz są one tego warte. Ten człowiek wiele wie.

- Biały Diabeł? - powtórzyła Lili. - Pretensjonalny pseudonim.

- Murzyni go tak nazwali.

- Znają go?

- Nie pierwszy raz jest w tych stronach.

Lilii chciała jeszcze o coś spytać, gdy jej uwagę zwrócił młody korpulentny Murzyn, który właśnie wszedł do lokalu, podszedł do jednego ze stolików i zamówił firmowy napój.

- Czy nie wydaje ci się, Harriet, że on nas śledzi?

Harriet roześmiała się.

- Śledzi? Dlaczego miałyby nas śledzić? O ile się znam na polityce, mają w tej chwili w Nigerii znacznie większe kłopoty niż te, jakich ty, czy ja mogłybyśmy im przysporzyć.

- Kiedy przyplłynęłam z redy, stał na nabrzeżu. Spotkałam go potem w

hallu hotelu Federal Pałace, później koło twojej willi, następnie na targu, wreszcie tu.

- Wszyscy czarni są do siebie podobni - uspokaja Harriet. - Skąd masz pewność, że to ten sam?

- Poznałabym go wśród tysiąca innych.

Harriet położyła dłoń na rękę Lili.

- Kochanie, czy wciąż jesteś ze mną szczerą?

Zdumienie w dużych piwnych oczach Lili uspokoiło nieco Harriet.

- Przepraszam, ale od pewnego czasu mam takie wrażenie, jakbyś mi nie o wszystkim mówiła, że coś przede mną ukrywasz.

- Harriet, ufałam ci i ufam.

- Nie o to chodzi. Wydaje mi się, że coś cię gnębi. Masz jakieś kłopoty?

- Ja? - Lili stara się uśmiechnąć. - Jakie kłopoty można mieć na statku kotwiczącym na redzie?

- Nie męczy cię ta monotonia wyczekiwania?

- Obserwacja ludzi, stanu ich zdrowia fizycznego i psychicznego - to temat mojej pracy - przypomniała.

- Tak, ale to wyczekiwanie na wejście do portu przedłuża się. „Oban” stoi już przeszło dwa miesiące!

- Na szczęście mam na łódzie ciebie i kiedy czuję się zmęczona redą, siadam w łódź i uciekam pod twoje opiekuńcze skrzydła.

- Wpadasz do mnie jak po ogień. Posiedziałybyś kilka dni, pojechałybyśmy gdzieś za miasto. Ale ty wciąż się spieszysz. Ot, choćby dziś. Czy naprawdę warto chodzić na owe jarmarki, na których nigdy niczego nie kupujemy?

- Dla mnie to wciąż egzotyka.

- A potem idziemy do tego samego sklepiku co zawsze.

- Myślę, że i dziś tam zajrzę.

- Za uczciwość tego handlarza nie dałabym naira.

- Ma oryginalne eksponaty.

- Li, znam się trochę na tym. Jestem tu dość długo. Przykro mi, ale pozwalasz się im oszukiwać. Sprzedają ci tandetę!

Lili popatrzyła w stronę, gdzie siedział młody Murzyn, na sekundę ich

spojrzenia skrzyżowały się.

- Chodźmy już - zaproponowała, nie dopijając do końca pepsi-coli. - Jest późno, załoga mojej łodzi będzie się niecierpliwić.

Uszły kilka metrów ulicą wąską, bez chodników po bokach jezdni, cuchnącą zgnilizną owoców i moczem, dymem znad piecyków i ognisk, gdy Lilii pod pozorem poprawienia czegoś przy sandale obejrzała się za siebie. Murzyn szedł za nimi.

- Wiesz co - powiedziała Lilii - darujmy sobie dziś mój sklepik z rzeźbami, tu niedaleko widziałam ładną maskę. Chętnie usłyszę na jej temat twoją opinię.

Skręciły w prawo i po chwili stanęły przed sklepem z rzeźbami w mahoniu, palisandrze. Weszły do środka. Rzeźby stały na półkach, leżały na podłodze w wielkim nieładzie. Lilii niespokojnie szukała jakiegoś okazji, którym mogłaby zainteresować swą przyjaciółkę.

- Jak ci się to podoba? - wskazała na sporych rozmiarów maskę z mahoniu, niczym nie wyróżniającą się spośród innych. - Czy to nie jest Gun, bóg wojny?

Harriet ledwo raczyła na nią popatrzeć.

- Czy masz jeszcze w swej kabinie miejsce dla siebie? - spytała.

- Nie podoba ci się? - Lilii udała zdziwienie.

- Sądziłam, że przede wszystkim zbierasz „strażników zmarłych”.

Właściciel sklepu przysłuchiwał się swym klientkom z pozorną obojętnością, stał z boku, w cieniu, patrząc gdzieś poza nie.

- Skoro mi odradzasz, nie kupię - stwierdziła Lilii.

Kiedy wyszły z mroku sklepu na ulicę, słońce ostro uderzyło je po oczach, szybko rozpięły nad głowami parasolki.



W sali restauracyjnej hotelu Federal Palace jest prawie pusto, czarnoskórzy kelnerzy stoją w otwartych drzwiach, od czasu do czasu sprawdzając spojrzeniami, czy trzej biali mężczyźni, popijający whisky, czegoś nie potrzebują.

- Ramsdell - mówi jeden z trzech przy stoliku - funduję jeszcze jedną kolejkę whisky, jeśli potrafisz nam w tej chwili, bez namysłu, opowiedzieć jakąś historyjkę, którą zainteresowałbyś nas.

Steward pociągnął dłonią po siwych skroniach, spojrzał chłodno na swych towarzyszy.

- Sądysz, Duun, że już tak źle z moimi finansami?

- Martin - zwrócił się Duun do trzeciego przy stole - czy ty też tak zrozumiałeś moją propozycję? Po prostu lubię, gdy opowiadasz. W każdym razie wolę słuchać ciebie, niż bzyku much w tej cholernej ciszy!

- Jeśli o mnie chodzi - włączył się trzeci mężczyzna - to myślę, że Ramsdell nie powinien się obrażać. Wierząc, że potrafi coś wymyślić, co mogłoby nas zainteresować, powiedziałeś mu komplement.

Ramsdell zapalił papierosa, skinął na kelnera.

- Ten pan - wskazał na Duuna - zamawia trzy podwójne whisky.

Strzepnął nerwowo z papierosa popiół do popielniczki z nazwą hotelu, na kilka sekund zacisnął oczy. Pod powiekami ujrzał Lili, smukłą, z naiwnie patrzącymi na niego oczami, nie piwnymi, jakie w rzeczywistości miała, a fiołkowymi.

Otworzył oczy, powiódł wzrokiem po towarzyszach. Był wściekły na siebie i na nich.

- Pływałem na „Kalipso” - zaczął nerwowo. - Któregoś letniego dnia zawinęliśmy do Kawali. Można stamtąd popłynąć do Orms Piinou na wyspie Thassos, albo pojechać do Filipi, gdzie Stróże zabytków sprzedają turystom dwudziestowieczny gruz jako relikwie sprzed naszej ery, albo też zrobić jeszcze szesnaście kilometrów, by znaleźć się w Eleftheroupolis, Bóg jeden wie po co? A więc Kawala jest miejscem, którego, gdy się tam dotrze, nie warto już opuszczać. I wcale niekoniecznie dlatego, że ma swój Akropol, przy placu Nikotsara stary akwedukt Kamares, pod którym z tą samą prędkością przechodzą osły, co i przejeżdżają samochody w stronę Xanthi albo Salonik. Jak przy dobrym winie zapomina się o kurzu na butelce, tak w tym mieście u podnóża gór staje się nieistotny ciężar historii. Oddycha się morzem, słucha się wiatru uderzającego w żagle i popijając tanie wino w ogródku przy Yassileos Pavlou, zapomina się o bożym świecie istniejącym



za górami, za morzem. Kiedy tak myślałem, z gór spadł wiatr, woda w zatoce wzburzyła się, na „Kalipso” pękła jedna cuma, druga, trzecia i gdy stanąłem na nabrzeżu, zobaczyłem rufę statku daleko w morzu. Hotelarz szczerze mi współczuł, między słowa pocieszenia wplatał nazwy miejsc, gdzie mógłbym przyjemnie spędzić czas, a więc marineclub, lokale „Dionyssos”, „La Nuit”, „Jockey Club”. Podziękowałem za adresy, wziąłem klucz obciążony brązową plakietką z wygrawerowanym numerem pokoju z postanowieniem niekorzystania z propozycji Greka. Czułem się zmęczony. Chciałem spać. Nazajutrz dzień był słoneczny, ciepły, lecz morze nie uspokoiło się. Z falochronu widziałem mój statek kotwiczący na przymorzu. Cały dzień przełaziłem po nabrzeżu łudząc się, że sztorm ucichnie. Wieczorem wróciłem do hotelu. „Wiedziałem, że pan jeszcze zostanie”, cieszył się hotelarz. „Zatrzymałem pokój. I jutro będę jeszcze rezerwował. Starzy marynarze twierdzą, że przynajmniej przez trzy dni morze nie popuści”. Ale kiedy trzy dni później stanąłem na nabrzeżu, nie zobaczyłem już „Kalipso”. Utonęła. Na szczęście załogę uratowano.

- A niech cię! - warknął Duun. - Potrafisz blagować jak mało kto. Gdybym nie wiedział od radiooficera Knoxa, że „Kalipso” dopiero co utonęła tu, na redzie w Zatoce Benin, uwierzyłbym ci. Ramsdell zaciągnął się dymem papierosa.

- Rzeczywiście, trudno nie mieć w takiej sytuacji wątpliwości - zgodził się. - Po zatonięciu „Kalipso” na Morzu Egejskim dostałem niezłe odszkodowanie. Żałuję, że nie zdążyłem się przemustrować z „Obana” na „Kalipso” w Zatoce Benin. Znów bym zarobił.



Kiedy Lilii wchodziła do sali restauracyjnej hotelu Federal Palace, mężczyźni wciąż jeszcze podziwiali Ramsdella za jego zdolność wymyślania nieprawdopodobnych opowieści, które podczas długiego postoju na redzie pozwalały łatwiej znosić oczekiwanie na wprowadzenie statku do portu.

- Znajduję panów w doskonałych humorach - zauważyła cierpko. - Jestem

pewna, że żadnemu z was nawet nie chciało się iść zobaczyć, czy ktoś nie ukradł szalupy.

- Bez tego, co pani w niej przewozi, niewiele jest warta - rzekł Ramsdell nie patrząc na nią.

Lilii zmierzyła go wzrokiem, chciała stewardowi coś odpowiedzieć, ale zawahała się, zrezygnowała z tego zamiaru.

- Zaczekam przy łodzi - powiedziała mniej pewnym tonem niż przed chwilą.

Wyszła do małego parku przy hotelu, w którym projektant kazał pobudować nad rwącymi strumykami mostki; po ich poręczach śmigały ogniste jaszczurki, w koronach palm kłóciły się papugi, krzyczały małpy. Przeszła wyżwirowaną ścieżką nad lagunę z kotwiczącymi pośrodku statkami, z których przeładowywano na szalupy cement. Silny nurt odpływu szarpał stojącymi w przystani łodziami.

Gdy podchodziła do łodzi z napisem „Oban” na burcie, poczuła na sobie ciężar czyjś spojrzenia. Odwróciła głowę w stronę kępy drzew. Pod jedną z palm stał Murzyn, który ją śledził. Lilii zatrzymała się i ostentacyjnie zaczęła mu się przyglądać. Mężczyzna podniósł rękę; pomachał nią. Lilii odwróciła się gwałtownie i niemalże pobiegła w stronę łodzi.

Po chwili do szalupy wsiedli także marynarze.

- Zna go pani? - spytał Ramsdell pokazując na Murzyna. - To Bill, po prostu Bill. Pytał mnie i innych, jak często pani odwiedzała statek „Kalipso”.

- „Kalipso”? - zdumiała się. - To ten statek, który zatonął? - upewniła się.

- Przynajmniej tak twierdzi kapitan - powiedział Ramsdell pomagając przy odcumowaniu łodzi. Roześmiał się nieprzyjemnie. - Utonął czy został zatopiony - nieważne, statku nie ma.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? - oburzyła się Lilii, patrząc na korpulentnego Murzyna. - Na „Kalipso” byłam z mężem kilka razy, lecz dlaczego się tym interesuje detektyw?

- Szuka dla siebie jakiegoś zajęcia - mruknął drugi oficer Duun. - Niech się pani tym nie przejmuje.

Łódź odbiła od pomostu, przeszła obok kotwiczącego statku, sternik skierował ją w stronę zatoki skrzęcej się w ostrym słońcu. Lilii wyjęła z

torebki okulary przeciwsłoneczne, założyła je.

- Dziś bez figurek, bez masek? - zagadnął ją Ramsdell.

- Nic widziałam niczego ciekawego - odkrzyknęła, przebijając się słabym głosem poprzez szum silnika.

Po minięciu falochronu łódź zaczęła się wznosić i opadać na falach, bić o nie dnem, bryzgi wody ochlapwały siedzących na ławach. Lili zmusiała miejsce, usiadła bliżej rufy, parasolką starając się ochronić plecy przed morską wodą.

Zatoka Benin, zatłoczona kotwiczącymi statkami, przypomina scenę przygotowaną dla jakiegoś filmu, w której stłoczono statki do odegrania pierwszoplanowej roli. Czekano na ten moment miesiąc, dwa, trzy, cztery. Od czasu do czasu redę przebiegała wiadomość o niespodziewanej śmierci kogoś z załogi, o szaleństwie jakiegoś zmęczonego czekaniem marynarza, o pirackim napadzie lub zaginięciu statku. Wydarzenia najbardziej nieprawdopodobne mogły mieć tu swe miejsce.

Statek „Oban” stał dwie godziny drogi łodzią od hotelu Federal Palace, nic więc dziwnego, że widok charakterystycznej nadbudówki, wysokiej i wyjątkowo wąskiej, z dwoma skrzydłami wysuniętymi po obu stronach, komin z zielonym kołnierzykiem, na którego tle umieszczono znak armatora - czarny łeb delfina - ucieszył zmęczoną Lili. Myślała o kąpieli, chłodnym napoju i długim odpoczynku w klimatyzowanej kabinie. Myślała jeszcze o czymś, ale nie były to myśli miłe, bo jej czoło spochmurniało, a drobne usta wydłużyły się w maleńki ryjeczek, nerwowo podszczypany palcami lewej ręki.

Łódź podchodziła do statku od dziobu, miała przepłynąć opodal napiętego łańcucha kotwicznego i przejść na lewą burtę pod opuszczony sztorm trap. Lili, widząc już statek, zaczęła się przygotowywać do opuszczenia łodzi. Złożyła parasolkę, wsunęła ją do torebki. Spojrzała na niebo, bezchmurne, niemalże przezroczyste, z ciemnymi plamami ptaków. Nagle jej wzrok padł na wodę koło dziobu statku. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Do łańcucha, tuż nad powierzchnią wody było przywiązane jakieś ciało.

- Boże! - krzyknęła.

Mężczyźni również dostrzegli trupa, podплыnęli łodzią bliżej łańcucha. Leżał twarzą zanurzoną w wodzie z bezwładnie rozrzuconymi rękoma. Martin wziął z łodzi wiosło, odwrócił trupa na wznak.

- Bestry! - jęknęła Lili. - Bestry! - powtórzyła, zakrywając twarz rękoma.



Kapitan Achrem był przygotowany na złą wiadomość, ale nie aż na tak złą. Wcześniej meldowano mu o zawieruszeniu się gdzieś Bestry'ego Cowpera, który nie zjawił się po śniadaniu na wachcie, nie popłynął też do portu. Kapitan podejrzewał, że jego trzeci oficer wypił w którejś z kabin za wiele whisky i zasnął tam. Kiedy jednak wszyscy członkowie załogi zapewnili, że nikt z trzecim oficerem nie pił, kapitan zaniepokoił się. Jeśli w kabini go nie ma, to gdzie może być? Przeszukano statek. Czyżby opuścił go po kryjomu? Ale jak? Jedna łódź popłynęła do portu, ale bez oficera, a druga jest na swoim miejscu.

Pospiesznie zszedł na pokład spacerowy, przeszedł na pokład dziobowy, skąd mógł naocznie stwierdzić prawdziwość przyniesionej wiadomości. Dłużej niż należało przyglądać się martwemu ciału swego oficera. Wiedział, że jest obserwowany, że jego reakcja na śmierć Cowpera będzie na statku komentowana, jak wszystko co się na nim dzieje, dlatego starał się zachować kamienny wyraz twarzy,

- Chiefie - zwrócił się do stojącego obok mężczyzny o śródziemnomorskiej urodzie, z czarnym zadbanym wąsikiem - proszę kazać ciało wciągnąć na pokład. Postaram się, by je stąd jak najszybciej zabrano.

Chief Dec był innego zdania.

- Myślę, że lepiej go pozostawić w szalupie.

- Dlaczego?

- Kapitanie, trup wyciągnięty na pokład z morza przynosi pecha - powiedział chief z przekonaniem.

- Zabobon.

Oczy chiefa zwęziły się.

- Być może, kapitanie, ale lepiej zostawić ciało w szalupie.

Kapitan uczynił gest zniecierpliwienia.

- Nie nalegam. Może ma pan rację. W każdym razie z szalupy łatwiej je będzie przetransportować na ląd.

- Sądzi pan, że wezmą? - wątpił chief.

- To ich obowiązek.

- Oby i oni tak myśleli.

- Jest trup. Będą musieli przeprowadzić dochodzenie. Wypadł za burtę? Został zamordowany? Przecież to jest człowiek!

- Na to pytanie łatwo odpowiedzieć już teraz. Trup był przywiązany do kotwicznego łańcucha. Widocznie mordercy zależało, aby ciało było przy statku, nie wypłynęło na zatokę.

- A więc morderstwo? - zdziwił się Achrem. - Na moim statku?

- Wszystko na to wskazuje.

Kapitan pociągnął dłonią po oczach.

- Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie tego.

Przeszedł do sterowni, połączył się z kapitanem portu, poinformował o wydarzeniu. Kapitana portu wiadomość ta nie zbulwersowała. No cóż, podczas redowego wyczekiwania wszystko może się wydarzyć. Kiedy Achrem zażądał przybycia policji, stanowczo mu odmówiono. Niech kapitan z załogą jakoś tę sprawę załatwi, policja jest niezbędna na lądzie, teraz w mieście potrzeba dużo policji.

Achrem nie zwrócił uwagi na ostatnią część wypowiedzi, myślał o tym, co ma robić w sytuacji, gdy na statku popełniono morderstwo, a policja nie chce się nim zająć.

Jak w somnambulicznym śnie powiesił słuchawkę na widełkach aparatu radiowego, zrobił dwa kroki w stronę bulajów, tępo patrzył na falujący w gorączce pokład.

Ocean pachniał rozciętą rybą.

Ten przykry zapach boleśnie przypomniiał mu o śmierci, bezkarnie żyjącym wśród załogi mordercy, o jego, kapitana, bezsilności i bezradności w nieoczekiwanej sytuacji.

Los nie oszczędzał go. Pochodził z ubogiej robotniczej rodziny mieszkającej w Swansea, w górniczym walijskim miasteczku nad Zatoką

Bristolską, przy Miers Street, bocznej od Delhi Street, z której rzadko zaglądało się na Lower Union Street, do Quadrant Centre, gdzie ceny artykułów przerażały dzieci górników i dokerów. Achrem nie poszedł pracować do kopalni, znalazł zatrudnienie w Kings Dock, skąd szybko uciekł w morze, gdzie po kilku latach zaczął imponować swym przełożonym pracowitością i chłonnością umysłu. Pozyskał sobie sympatię pewnego kapitana, Walińczyka, który zajął się nim, dopomógł w zdobyciu pierwszych oficerskich pasków, a potem Achrem piął się już w górę bez przeszkód. Im większe miał sukcesy w pracy, tym mniej miał powodów do chwalenia się żoną i dziećmi. Kiedy został już kapitanem, żona opuściła go, a dzieci przestały się liczyć z opinią ojca. Achrem klęskę ojcowsko-mażeńską przeżył ciężko, przez jakiś czas pił. Wtedy właśnie poznał Lilię Pointer, zawiedzioną jak i on, z żalem do ludzi. Nie mieli czasu na długie poznawanie się, oboje zaryzykowali, pobrali się, a podróż poślubną postanowili odbyć na „Obanie”. Dla wielu członków załogi rejs ten był przekleństwem, natomiast dla niego - słodką nagrodą za wiarę w Lilię, którą kochał coraz mocniej. I wszystko układałoby się jak najlepiej, gdyby nie to morderstwo, a więc i kłopoty.

Zszedł do swej kabiny, dość obszernej, urządzonej praktycznie, by można było czuć się w niej dobrze. Wyciągnął z kredensu dwa kieliszki, z lodówki whisky. Czekał na Lilię. Żałował, że tym razem nie będzie się cieszyć zakupami, że nie rzuci się mu na szyję i obsypując pocałunkami, nie zacznie domagać się, by zgadywał, co dla niego kupiła, jakie rzeźby, jakie maski? „Żałuj” - mawiała - „że nie brałeś udziału w tej wycieczce. Wyjątkowo udana. Za bezcen cała szalupa pełna pamiątek. Dla ciebie - »strażnik zmarłych«. Ładny? „Udawał przesądnego, mówił o magicznych właściwościach owych rzeźb. „Boisz się?” - śmiała się. „Przy mnie jesteś bezpieczny, nawet najczarniejsza magia ci nie zaszkodzi. Wiesz dlaczego? Bo cię kocham, a przeciw tej sile nie ma większych mocy”.

Minęło kilkanaście minut oczekiwania, lecz Lilię nie zjawiała się. Achrem wyszedł na korytarz, zastukał do izolatki, pomieszczenia rezerwowanego dla chorych, gdzie Lilię często szukała samotności.

Leżała wyciągnięta na łóżku, z głową na poduszce, jej ptasimi ramionami

wstrząsał tłumiony szloch.

Achrem przyklęknął koło niej, pogłaskał ją po czarnych włosach, aż aksamitnych w półmroku kabiny, całował ramiona.

- Czy ktoś zrobił krzywdę mojemu maństwu? - spytał cicho. - Tak się przejęłaś śmiercią tego człowieka? - zgadywał.

Lilii odwróciła się do męża, objęła jego szyję.

- Wszystko takie nieprawdopodobne - przytuliła twarz do jego twarzy. To ja go zabiłam.

Ustami odszukał plamę jej ust; odsunęła się.

- To moja wina - powtórzyła.

- Co ty opowiadasz? - zdziwił się.

- Nie znasz prawdy. Ja go zabiłam.

- Muchy nie potrafiłabyś skrzywdzić - uspokajał ją. - Chodź, napijemy się whisky, zapomnimy o tym wydarzeniu.

- Nie, lepiej zostanę tu.

- To nie ma sensu popadać w rozpacz z powodu człowieka, którego ledwo znaleźliśmy - mówił kapitan.

Lilii otarła wierzchem dłoni łzy. Nieco uspokoiła się.

- I co teraz będzie?

- A co ma być?

- Policja przeprowadzi dochodzenie?

- W tym kłopot, że nie chce przyplłynąć.

Wiadomość ta nie zmartwiła Lilii, przeciwnie, uspokoiła ją.

- Tak? To dobrze, przynajmniej unikniemy tych natrętnych pytań wścibskich policjantów, którzy, szukając mordercy, wchodzą butami w duszę. Nie lubię glin. Na ich widok niedobrze mi.

- Więc mogę cię zapewnić, że ich nie zobaczysz.

Pocałowała go w czoło.

- Dziękuję ci.

Kapitan roześmiał się.

- Jesteś zabawna, Li. Za co mi dziękujesz?

- Że oszczędzasz mi ich widoku.

- Prawdę mówiąc - wyznał strapiiony Achrem - wolałbym, aby

przyjechali. Nie mam pojęcia, co zrobię z trupem?

Lilii zastanowiła się chwilę.

- Trzeba mu będzie urządzić marynarski pogrzeb. Tak jak zwyczaj każe. Pomogę ci w tym.

Myśl o obowiązkach ożywiła ją, zdawała się zupełnie nie pamiętać o tym, komu ten pogrzeb przygotowuje się.



Przed pogrzebem trzeciego oficera Achrem postanowił zajrzeć do jego kabiny. Klucz, tak jak to było w zwyczaju na statku przebywającym w morzu, tkwił w zamku drzwi. Achrem przekręcił go, otworzył drzwi. Od razu dostrzegł panujący w kabinie bałagan, jakby ktoś w niej pospiesznie czegoś szukał. Szuflady spod koi były wyciągnięte, rzeczy wysypane na koję, drzwiczki do biurka uchylone, książki na etażerce poprzewracane, na fotelu leżała bielizna wydobyta z szafy.

Popatrzył na biurko, na leżący na nim kalendarz. Przewrócił kilkanaście kartek. Pod datą 15 stycznia, a więc na trzy dni przed śmiercią Bestry'ego Cowpera, była zapisana uwaga: „oddać całość”. Notatka ta kapitanowi nic nie mówiła i nie sądził, by miała jakiś związek z morderstwem. Opuścił więc kabinę z przekonaniem, że żaden ślad nie prowadzi na trop do mordercy.

Ceremonia pogrzebowa nie trwała długo. Ciało położono na kilku deskach, przykryto białym płótnem, a kapitan odczytał z „Biblii” dziękczynną pieśń Dawida z Drugiej Księgi Samuela:

*Ogarnęły mnie fale śmierci,  
Nurty groźne przeraziły mnie,  
Więzy grobu spętały mnie.  
Pochwyciły mnie sidła śmierci.*

Przy ostatnich promieniach słońca ciało zsunięto z burty. Kapitan postawił w oficerskiej mesie dwie butelki whisky, cygara.

Steward Ramsdell przyniósł naczynie z lodem, szklanki, rozlał whisky.



Podał szklankę Lili.

- Czy byłby ktoś w stanie określić, jak długo denat znajdował się w wodzie? - spytał obojętnym tonem. - Może pani?

Pytanie zaskoczyło Lili.

- Nie, na pewno nie - odpowiedziała spłoszona.

- Szkoda - rzekł steward. - Nawet nie wiemy, kiedy został zamordowany.

- A czy to ma dla nas jakieś znaczenie? - spytała.

- Oczywiście. Przykro pogodzić się z myślą, że morderca jest wśród nas.

Może być wśród nas - poprawił się.

Lili położyła głowę na oparciu fotela, przymknęła oczy. Steward przesunął się w stronę kapitana.

- Jeżeli nie wykryje się mordercy, może nas spotkać jeszcze niejedna niespodzianka - rzekł.

Kapitan wziął szklankę z whisky, rzucił do niej kostkę lodu, czekał, aż zacznie topnieć.

- Nie nadaję się na detektywa - powiedział po chwili. - Jeżeli któryś z panów chce się podjąć tego zadania, będzie miał moją aprobatę.

- Dość ryzykownego zadania - wtrącił się Dec.

- Oczywiście - zgodził się kapitan. - Łatwo sobie wyobrazić, co będzie chciał zrobić morderca, gdy poczuje się zagrożony.

Lili otworzyła oczy, pochyliła się do przodu, wzięła ze stołu szklankę z whisky, nadpiła łyk.

- Jestem zmęczona, pójdę się położyć - powiedziała. - Wstała. - Dobranoc panom. - Odstawia szklankę na stół. - Mam nadzieję, że jutro zobaczymy się w komplecie.

Mężczyźni zostali sami. Kapitan głośno rozważał możliwość powierzenia jednemu z oficerów lub mechaników roli detektywa, lecz żaden z nich nie był odpowiedni. Najwięcej argumentów przemawiało za radiooficerem, człowiekiem młodym, inteligentnym i chyba prawym.

- Czy nie chciałby się pan zająć dochodzeniem? - spytał go kapitan. - Wydaje mi się, że podołałby pan temu zadaniu.

Radiooficer Knox uśmiechnął się łagodnie, potem z taką samą łagodnością zaprzeczył.

- Niestety, panie kapitanie, nawet z żony nie potrafię wydobyć prawdy, a co dopiero z podejrzanego o morderstwo.

Kapitan szukał wzrokiem wśród oficerów kolejnego kandydata na detektywa, gdy steward, stojący dotąd na progu mesy i pentry, przeszedł w stronę kredensu i stanął na drodze wzroku Achrema.

- A może pan? - spytał kapitan.

- Dlaczego nie? - odpowiedział steward pytaniem na pytanie.

- Zgodziłby się pan? - zdziwił się kapitan. - Największy blagier na statku?

- Mam pewien plan - rzekł steward. - Mógłbym spróbować.

Achrem zawahał się z podjęciem decyzji.

- Rozumiem - powiedział steward. - Sytuacja może być niezręczna, szczególnie wówczas, gdy będę musiał inwigilować oficerów. Nie nalegam, ale gdyby nikt inny nie chciał, mógłbym się podjąć tego zadania.

Kapitan spojrzał pytająco na oficerów.

- A niech się bawi w detektywa - zgodził się Dec.

Inni nie protestowali.

- A więc drzyj, morderco, ściga cię ręka sprawiedliwości! - wykrzyknął patetycznie Ramsdell.



Niechęć policji do zajmowania się sprawami na redzie znalazła wytłumaczenie, gdy na statek dotarła wiadomość o udanym zamachu na prezydenta.

- Ten zamach - mówiła Lili - wisiał w powietrzu. Ten kraj potrzebował wstrząsu.

- Jeszcze nikt - zauważył Ramsdell - sięgając po władzę nie przyznał się, że zaspokaja swą ambicję; każdy zaśłania się celami wzniosłymi.

Lilii starała się skontaktować ze swą przyjaciółką w mieście, ale przerwano łączność.

Nowa sytuacja całkowicie usprawiedliwiała dowództwo statku, które dochodzenie w sprawie morderstwa powierzyło osobie mało kompetentnej i - co tam się łudzić - nie dającej szans wykrycia winnego.

Ramsdell prawie całą noc przesiedział w kabinie trzeciego oficera, skrupulatnie przeszukał rzeczy po nim, przejrzał kalendarz, w którym znalazł uwagę o „oddaniu całości” w dniu 15 stycznia. Obwąchał kilkanaście pustych butelek po whisky, przetrząsnął ubrania, ale poza wspomnianą notatką nie znalazł niczego, co mogłoby prowadzić do wyjaśnienia zbrodni.

Rano był półprzytomny, obsługiwał przy śniadaniu nieporadnie, mylił zamówienia, na złośliwe prośby, by wymyślił jakąś historyjkę o motywie zbrodni, nie reagował.

- Jeżeli włączy w proces dochodzenia jeszcze kucharza, marny nasz los - westchnął chief Dec, który zamiast jajek na bekonie dostał jajecznicę ze szczypiorkiem.

Radiooficer Knox zauważył cierpko, że Ramsdellowi trudno będzie pogodzić obowiązki stewarda z przyjemnościami detektywa.

Steward poczuł się winny i postanowił humorem zatrzeć nie najsympatyczniejsze ranne wrażenie. Opowiedział o detektywie, który tak daleko posunął się w swych podejrzeniach, że zaczął sam siebie badać i - co więcej - po kilkugodzinnej rozmowie ze sobą wpisał się na listę podejrzanych.

- Brawo, brawo - pochwalił go Duun.

- Słyszałeś, co opowiadałem? - zdziwił się Ramsdell.

- A jakże, piękny wywód.

- Wydawało mi się, że w tym czasie, kiedy opowiadałem, nie było cię w mesie - rzekł steward.

- Mogę powtórzyć każde słowo.

- A ja dałbym głowę, że byłeś gdzie indziej.

- Stałem w drzwiach - zgodził się po chwili Duun. - Musiałem odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

- To już bardziej prawdopodobne.

- Cóż się tak do mnie przyczepił? - oburzył się Duun. - Czy nie wolno mi stanąć w drzwiach, by poodychać świeżym powietrzem? Naprawdę, stajesz się zabawny.

- Chcę być dokładny.

- Ale po co? - Dunn ledwo nad sobą panował.

- To się później okaże.

- Zdaje się, że przydałoby się na tym statku trochę kaftanów bezpieczeństwa - warknął Duun.

Lilii próbowała załagodzić spór.

- Panowie, o co ta kłótnia? Skąd to rozdrażnienie? Skoro Ramsdell ma prawo wyjaśnić, kto na tym statku jest mordercą, nie utrudniamy mu zadania.

Chief Dec mruknął coś na temat wody sodowej uderzającej do głowy, co miało być aluzją do dosyć agresywnego zachowania się stewarda.

- No cóż - rzekł kapitan Achrem. - Ramsdell chce nam udowodnić, że jako były nauczyciel logiki nie tylko myśli, ale i obserwuje nas.

- Pan był nauczycielem? - zdziwiła się Lilii.

- Nawet niezłym metodykiem.

- I co pana skłoniło, by zacząć pływać w charakterze stewarda? - spytał z przekąsem chief Dec.

- Principium rationis sufficientis - odparł.

- Aha - pokiwał szybko głową Dec.

Do mesy wszedł Martin, wysoki i szczupły jak don Kichot.

- Co tam na mostku? - spytał chief schodzącego z wachty.

- Nuda - mruknął niechętnie zapytany. Nagle przypomniał sobie coś. - Ach, niewiele brakowało, a o mały włos zrobilibyśmy alarm „człowiek za burtą”.

- Co było powodem? - zainteresował się kapitan.

- Coś tłuło o burtę. Rytmicznie, jakby ktoś chciał zwrócić w ten sposób naszą uwagę. Wychyliłem głowę za burtę. Ciemno. Poświeciłem latarką, niewiele ujrzałem, ale mogłem być pewny, że żadna łódź nie przybiła do burty. Kazałem przynieść lampę i opuścić z pokładu ochronnego. Uwierzyć nie mogłem. O burtę biła rzeźba, jedna z tych, jakie miał trzeci oficer, chief i pani Lilii. Chciałem ją wydostać z wody, ale nim zorganizowaliśmy, co trzeba, porwał ją prąd i poniósł na ocean.

Steward podszedł do tamtego.

- Tych rzeźb nie dostaliśmy za darmo, więc dlaczego mielibyśmy je wyrzucać za burtę? - spytał.

Martin wzruszył ramionami.

- Co mnie do tego?

- Trzeba było jednak wyłowić! - zirytował się Ramsdell.

Martin, zmęczony nocną wachtą, zbył tę uwagę milczeniem, zamówił u stewarda śniadanie.



Marynarz wachtowy telefonicznie zawiadomił kapitana Achrema, że od burty „Stirlinga” odbiła szalupa. Achrem odłożył słuchawkę, chwilę milcząco patrzył na żonę.

- Scarron płynie do nas - powiedział. - Szczerze mówiąc, wolałbym go dziś tu nie widzieć. Dobrze gra w szachy - to jego zaleta, ale, niestety, jest dość wścibski - to jego wada.

- Czy masz powód, by się go obawiać? - spytała Lili.

- Wolałbym, żeby przed wykryciem mordercy nikt obcy nie kręcił się na moim statku.

- Czy ma to jakieś znaczenie? Wkrótce i tak cała reda dowie się o tym, co tu zaszło. - Podeszła do okazałych rozmiarów rzeźby „strażnika zmarłych”, którego martwe oczy patrzyły na nią - przynajmniej tak jej się zdawało - z wyraźną niechęcią, odwróciła go twarzą do ściany. - Scarron nie lubi tych rzeźb. Twierdzi, że rozpraszają jego uwagę w grze.

- Jeżeli tak jest naprawdę, przysuń ją bliżej stolika - roześmiał się i czule objął ramieniem żonę. - Wciąż go podejrzewam, że się w tobie podkochuje.

- Jesteś zazdrosny?

- Brak mi wiary w siebie. Wydaje mi się, że o ile w szachach mam przewagę nad nim, to...

- Nie kończ, głuptasku i uwierz w siebie.

- Sądzisz, że to takie proste?

- Więcej ufności we mnie też ci nie zaszkodzi.

- Bogu trudniej byłoby sprowokować do grzechu Ewę, gdyby wcześniej nauczono ją nieufności co najmniej do gadów - powiedział Achrem, pocałował żonę w kark. - Wyjdę do tego gada, przepraszam, gościa.

Kiedy wyszedł, Lili zadzwoiła po stewarda. Zjawił się natychmiast. Poprosiła go, by przygotował coś do picia.

Ramsdell ociągał się z odejściem do pentry.

- Czy była pani dziś w izolatce? - spytał.

Nie, nie miała potrzeby tam chodzić.

- Ostatnim pacjentem, który korzystał z izolatki, byłem ja - przypomniał steward. - Dzięki pani chorobę tę wspominam z przyjemnością.

- To miło z pana strony.

- Opiekowała się pani mną jak prawdziwa pielęgniarka.

- Nie są to najtrudniejsze obowiązki.

- Wydawało mi się wówczas - zająknął się - że dała mi pani pewne dowody sympatii, nadzieje...

- Sympatii? Chyba tak. Jest pan tu przez wszystkich lubiany. Ale nadzieje? Na co, jakie nadzieje? - spytała z zakłopotaniem w głosie.

- Była pani dla mnie bardzo miła.

- Czy wobec chorego można być niemiłą? Staralam się jakoś panu pomóc, a było mi przykro, że tak niewiele mogę.

- O, nie! - wybuchnął namiętnością. - To było coś więcej. Czuję to.

- Myślałam wówczas o śmierci, o tym, jak niewiele trzeba, by zostać wyeliminowanym z życia.

- Świadomość, że życie jest krótkie, nie usprawiedliwia naszych głupstw!

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zmartwiła się.

- Pani myślała, że jestem nieprzytomny, że leżę i nie zdaję sobie sprawy, co się ze mną dzieje. Aleja wszystko pamiętam. To było miłe, pani Li.

- Szkoda, że teraz nie jest pan miły wobec mnie i nie zostawi mnie samej. Niech pan się zajmie przygotowaniem napojów, Scarron już dobija do burty.

- Nienawidzę jego i pani męża!

- Proszę im to powiedzieć.

- Kocham panią!

- Posuwa się pan za daleko, Ramsdell! - powiedziała oschle. - Kapitanowi na pewno nie spodoba się pańskie adorowanie mnie.

- Nic pani mu nie powie - rzekł pewny siebie.

- O, a to dlaczego?

- Przecież nie będzie chciała pani skandalu!

- Jakiego skandalu? - zdumiała się.

Uśmiechnął się znacząco.

- Pamięta pani, jak pozwoliła Bistry'emu Cowperowi przynieść do izolatki jednego ze „strażników zmarłych”? W jego kabinie zbyt mało było miejsca na taką rzeźbę, twierdził. Nie jestem przesądny, ale ta rzeźba nie najlepiej wpływała na moje samopoczucie.

- Nie wiedziałam, że przeszkadzała panu.

- Po kilku dniach przyzwyczałem się do niej, pogodziłem się z jej obecnością, bo pani kazała ją tam umieścić. - Popatrzył na nią przenikliwie. - Zajrzałem dziś do izolatki. Tej rzeźby już tam nie ma. Czyżby pani znalazła dla niej lepsze miejsce?

Wiadomość ta zaskoczyła Lili.

- Jest pan pewien, że „strażnik zmarłych” z izolatki zginął? - spytała.

- Na statku są trzy takie rzeźby. Raczej były. Ta tutaj, w salonie kapitana, w kabinie chiefa i w izolatce. „Strażnik zmarłych” z izolatki zginął gdzieś. Wszystko wskazuje na to, że to jego widział Martin w nocy, jak tłukł się o burtę statku. Kiedy dziś przyszedłem na korytarz koło izolatki, zobaczyłem, że drzwi do niej są otwarte. Wszedłem do środka. Bulaj również był otwarty. To na pewno przez niego wyrzucono rzeźbę. - Spojrzał pytająco na kobietę. - Zastanawiam się, komu i dlaczego zależało na pozbyciu się ze statku tej rzeźby? Przecież nie trzeciemu oficerowi, który już nie żył? Pani?

- Dlaczego mnie?

- Była tu pani wczoraj. Czy wówczas rzeźba stała jeszcze na swym miejscu?

- Nie pamiętam.

- Niech pani stara się sobie przypomnieć.

- Jaki miałabym interes pozbywać się jej?

Ramsdell milczał chwilę.

- Sądzę - powiedział wreszcie - że wolałaby pani, aby kapitan nie wiedział o naszej rozmowie.

Spojrzały na niego zdumione piwne oczy.

- Ramsdell, widzę, że łatwo pan wszedł w rolę detektywa. Życzę jak

najwcześniejszego wykrycia mordercy. Proszę jednak nie zapominać o swych obowiązkach stewarda.

- A jednak jestem przekonany, że wolałaby pani ukryć przed mężem moje podejrzenie o związek pani z zaginięciem rzeźby.

- Nie mam przed mężem żadnych tajemnic!

- Na pewno?

- Oczywiście.

- Mam co do tego wątpliwości.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Ramsdell zwlekał z odpowiedzią.

- Słyszała pani o Białym Diabie? - spytał.

Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Biały Diabeł? Tak, słyszałam o nim, niedawno, na łądzie - przyznała. - Ale jaki to ma związek ze mną, ze „strażnikiem zmarłych”?

Podszedł do stojącej rzeźby, położył na niej rękę, zdjął z niej przykrywkę, wyjął ze środka czaszkę.

- Właśnie szukam tego związku.

- Jest pan na fałszywym tropie.

- Tak pani sądzi, Li?

- Widzę, że nie jest pani ze mną szczerą. To ułatwiłoby mi zadanie, jakiego się podjąłem.

- Szczerą? - parsknęła pogardliwie. - Przed kim? Przed panem, który czeka na to, bym powiedziała, że jestem z nim gotowa zdradzić męża? Za wiele pan sobie po mnie obiecuje, Ramsdell!

- Może tak, a może nie? - powiedział zagadkowo i przeszedł do pentry.



Kapitan Scarron był dość częstym gościem na „Obanie”, przepadał za szachami, lubił dobre towarzystwo, chwalił sobie niezłą kuchnię u swego przyjaciela Achrema. Kapitan Achrem nigdy go przyjacielem nie nazwał, ale też nie miał nic przeciw wizytom Scarrona, które w redową monotonię wносиły sporo ożywienia.



- Lili, jak się pani miewa? - powitał ją kordialnie od progu. - Stęskniłem się za panią. Boże, jak ślicznie pani wygląda, wiosennie, o ile na tej szerokości geograficznej takie określenie ma sens.

Podąła mu rękę.

- Widzę, że i dziś dobre samopoczucie pana nie opuszcza - powiedziała chłodno. - Mam nadzieję, że i szczęście panu towarzyszy, które przyda się w szachach.

- Chce pani nas zostawić samych? - grymasem twarzy wyraził niezadowolenie. - Niech pani tego nie czyni, bo kiedy zostaniemy sami - grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo.

Lili roześmiała się sztucznie.

- Obawiam się, że moja obecność tylko panom przeszkadzałaby.

- Ależ skąd! - zaprotestował gorąco Scarron. - Pobudza pani moją wyobraźnię, moje myślenie, wyzwala inteligencję,

Wszedł Ramsdell z tacą z pobrzękującymi kieliszkami, z butelką whisky, z wiaderkiem wypełnionym kostkami lodu.

Ożywienie, wesołość Scarrona krępowały Achrema, który stał z boku i milcząco przysłuchiwał się wymianie zdań między nim a żoną. Dopiero gdy wszedł steward, uznał za stosowne włączyć się do rozmowy.

- Lili, mą na statku liczne obowiązki - powiedział.

- Przemęcza ją pan, przyjacielu! - krzyknął Scarron.

- Pozwólmy jej do nich wrócić - kończył myśl Achrem.

- O, podejrzewam pana, kapitanie, o zazdrość! - ryknął Scarron. - Nieładnie pozbawiać mnie, gościa, towarzystwa pięknej kobiety! Kobiety godnej komplementowania. A, wstyd, kapitanie, zachowuje się pan jak muzulmanin! Niech ci Allah będzie łaskawy!

Scarron energicznie podszedł do rzeźby „strażnika zmarłych”.

- A cóż to, plecy nam dziś pokazuje? - zaśmiał się, ale widać było, że właśnie w chwili, kiedy patrzył na rzeźbę, nie do wesołości miał ochotę. Zmarkotniał, stał przed rzeźbą przygnębiony, kurcząc się. Kiedy podniósł wzrok na Lili, malował się w nich wyrzut.

Achrem zaczął się niecierpliwić.

- Kapitanie - zwrócił się do Scarrona - do boju!

Lilii bez słowa opuściła salon, a mężczyźni przeszli do szachownicy.

- Co pan sądzi o nigeryjskim przewrocie? - spytał Achrem częstując gościa alkoholem. - Nie spodziewałem się w tym kraju takiej opozycji.

- Jeszcze nie wiemy, kto za tym wszystkim stoi: Rosjanie czy Amerykanie? Podejrzewam, że jedni i drudzy, bo jedni i drudzy mają tu swoje interesy: ropa.

- Może właśnie tym przewrotem zaczyna się Nowy Międzynarodowy Ład Ekonomiczny, którym Trzeci Świat chce nas przerazić?

- Reuter twierdzi, że przewrót ma lokalne motywy. Jak zwykle chodzi o pieniądze i władzę.

- Nawet najpotężniejsza władza nie może pogodzić się z istnieniem najlichszej istoty, która jej nie aprobuje - zauważył Achrem. - Stąd rewolucje, zamachy, przewroty.

- Nie rozumiem - przyznał się Scarron.

- Myślę, że ten przewrót miał inne uzasadnienie.

- Słucham - ponaglił go Scarron.

- Konflikt wśród kierownictwa, dążenie do objęcia władzy przez nowe siły, które nie mogły się pogodzić z absolutyzmem przywódcy narodu.

Achrem odstawił kieliszek.

- Coraz częściej myślę o nas, kapitanach, o naszej władzy na statkach. Mamy na statkach wielką władzę, niepodzielną. Czy to nie jest dla nas pewnym ryzykiem?

Scarron roześmiał się.

- Chce pan wprowadzić demokrację?

- Wokół nas jest pełno ludzi, którzy nas nie aprobują.

- Nie aprobują nas, ale się nas boją - powiedział Scarron.

- Do czasu.

- Potrafimy się obronić.

- Do czasu - powtórzył Achrem.

- Gdyby zaszła potrzeba, bylibyśmy wobec nich bezwzględni.

- Tak pan sądzi?

- Nie mam co do tego wątpliwości. - Scarron nadpił nieco whisky. - Założę się, że gdyby pan odkrył wśród członków załogi rywala o uczucia

swej ślicznej żony, byłby pan wobec niego bardzo surowy, ba, okrutny.

Achrem milczał chwilę, bawiąc się podniesionym z szachownicy pionkiem.

- Nie wiem. Być może. Ale do pewnych granic - powiedział.

- Taki jest pan pewny siebie?

- Zdaje mi się, że znam siebie.

- Pozory. Nikt nie zna siebie.

- Wychowano mnie w pewnej moralności, nauczono mnie odróżniać dobro od zła.

- A ja myślę - powiedział Scarron - że w ostateczności byłby pan zdolny do morderstwa. Tak jak każdy zdradzony, oszukany mąż, zawiedziony kochanek. Bez względu na to w jakich zasadach pana wychowano. Zmrużył oczy i chłodno patrzył na Achrema.

- Co też pan opowiada! - oburzył się Achrem.

- Tak, tak, przyjacielu, do morderstwa! Pionek wypadł z ręki Achrema, potoczył się pod „strażnika zmarłych”. Scarron zaśmiał się diabolicznie.



Lilii udało się do izolatki. Steward nie kłamał, drzwi były otwarte, a w niewielkiej kabinie z dwoma metalowymi łózkami, intensywnie pachnącej środkami czystości po „strażniku zmarłych” nie było śladu. Bulaj już zamknięto.

Siadła na białym metalowym taborecie, z regulowaną w miarę potrzeby wysokością przy pomocy śruby, patrzyła w bulaj z kołyszącym się w nim niebem. Zamyśliła się.

„Oban” stał już na redzie sześćdziesiąty ósmy dzień, załoga była zmęczona monotonią wyczekiwania na wiadomość o wprowadzeniu do portu, jednostajnością zajęć na pokładach, w siłowni. Nie wszyscy potrafili znieść to napięcie nerwów, nijakość życia w pływającym więzieniu. Trzeciego oficera z widocznymi zmianami odchylenia od normy psychicznej trzeba było odesłać na leczenie do szpitala na lądzie. Miał go zastąpić Bestry, przemustrowany z „Kalipso”. Umówiono się, że powracająca z

miasta motorówka zabierze go wieczorem spod hotelu Federal Pałace.

Lilii poznała go od razu. Motorówka jeszcze zmagająca się z prądem, parła całą swą mocą dychawicznego silnika na światła wyspy Eko, gdy ujrzała go stojącego na nabrzeżu. Smukły, w białej koszuli rozpiętej na piersi, z wciąż tą samą bujną czupryną, opadającą na czoło, na oczy, przypominał młodość, przywoływał na pamięć rwące się rozmowy, w których miłość zmagająca się z przyjaźnią, namiętność z poczuciem moralnej odpowiedzialności. Uniosła rękę. Stał w gęstniejącym mroku opodal pnia palmy kokosowej, patrzył na lagunę, na grecką motorówkę, wypływającą chmurzyce dymu, niechętnie opuszczającą się na przeciętą kilwaterem gładź wody, na pewno widział także białą damę, podnoszącą dłoń, ale jeszcze nie potrafił tej sylwetki skojarzyć z dziewczyną znad kanału la Manche. Może poznał, ale nie mógł uwierzyć: ona tu? Przynajmniej w ten sposób chciała go usprawiedliwić. Szła naprzeciw niego powoli, obserwując go. Kiedy dzieliło ją już tylko kilka metrów - stanęła, czekała. Sądziła, że raz wypowiedziana prawda pozostaje nią na zawsze, raz rozniecone w człowieku uczucie - tlić się będzie wiecznie. Jeszcze sekunda, dwie - pozna, pochwyty w ramiona, ucałuje. Dlaczego zwleka, dlaczego dręczy ją tymi sekundami opóźnienia na dowody nie przemijającej sympatii? „Bestry” - szepnęła bliska płaczu, bo nie spełnił jej oczekiwania. „Bestry!” - nieco głośniejsze, jakby chciała go przebudzić. „Li? Nie, ty tutaj?” - kłamliwe zdumienie. Jej serce ścisnęło się. Tylko tyle? Udane zaskoczenie i nic więcej? Nawet nie podbiegł, nie otworzył ramion. „Kapitan nie powiedział ci, kogo masz oczekiwać?” Chciała mu coś udowodnić, ale co? Że to chłodne spotkanie zostało wcześniej wyreżyserowane? „Absolutnie nie” - usprawiedliwiał się. „Tym bardziej, że wiadomość o przemustrowaniu docierała do mnie bardzo określną drogą. Poza tym wszędzie tu bałagan, obok siebie stoją dwa statki jednego armatora i ani jeden nie ma pełnego stanu załogi. W ciągu jednego dnia wobec mnie kilkakrotnie zmieniano decyzję, sam już nie wiem, na którym statku ostatecznie jestem zamustrowany”. Mówił szybko, nerwowo, jakby chciał pokryć zmieszanie. „Nie przywitasz się ze mną? - wyciągnęła w jego stronę dłoń, jednak nie pozwoliła się pocałować. Znowu spodziewała się z jego strony czegoś, czego nie potrafiła jednoznacznie nazwać. Może nalegania,

by ustąpiła, zgodziła się na pocałunek? Jak wówczas, gdy powiedział, że rozstają się na długo. Wskazał głową w stronę motorówki. „Nie boisz się z nimi pływać?” Gdybyż mogła zadać mu ból. „Są bardzo mili, przemili”. Uśmiechnął się zdawkowo. „Słyszałem, że waszemu trzeciemu” - uczynił koło skroni kółeczko. „Nie dziwię się. Więc myślę, że lepiej ostrożnie”. Zrobił krótką pauzę. „No, dobrze, gdy na statku jest choć jedna kobieta, zawsze wówczas lżej”. Ach, pomyślała, o to ci chodzi! No, śmiało, marynarzu, powiedz do końca, co myślisz o kobiecie na statku wśród mężczyzn, powtórz opinii kucharzy, stewardów. Oficerów przemilcz, to świętość, nawet nie mają wyobrażenia, co się dzieje na statku, na który zamustrowano kobietę. Odwróciła się gwałtownie, nie patrzyła na niego. „Jestem mężatką. Proszę cię, nie wracajmy do przeszłości. Najlepiej będzie, jeżeli nikt nie dowie się o naszej znajomości”. W odpowiedzi zaśmiał się nerwowo, niespokojnie. Towarzyszyła mu do hotelu, gdzie zostawił swoje rzeczy. Szli brzegiem laguny w stronę cumującej łodzi. Jaszczurki biegły przed nimi, nagle wspinały się na otaczający mur, na pnie drzew. Z okien hotelu sączyło się na liście palm żółte światło i dźwięki egzotycznej melodii. „Nie masz ochoty napić się czegoś?” - zaproponował. Podziękowała za propozycję, powiedziała, że wolałaby już wracać na redę. „Tak ci tęskno do męża?” - spytał kpiąco. „Tak, bardzo” - odpowiedziała poważnie. „I chciałabym, żebyś o tym pamiętał”. „Przrzeknij” - poprosiła go - „że nie zrobisz nic, co by mnie mogło skompromitować w jego oczach”. Zawahał się z odpowiedzią. „Myślę, Li, że się dogadamy” - powiedział po chwili. Wrócili z rzeczami do łodzi. Zaterkotał silnik, ktoś z nabrzeża zdjął cumę, szalupa odbijała. Natychmiast opadła ich lepka ciemność. Wodą płynęły odbicia światła z cumujących statków, w górze nieruchomo stały gwiazdy. Przebijali się opodal szaland z workami cementu, obok pchaczy portowych, rozładowywanych statków, greckich promów. W mdłym świetle majaczyły sylwetki Murzynów. Poczwała obok swego ramienia ramię Bestry’ego. Odsunęła się. „Prosiłam” - przypomniała mu - „a ty przrzekłeś”. Przez całą drogę milczeli. „Czy mogę pani pomóc w wejściu na trap?” - zaproponował, gdy szalupa dobiła do „Obana”. „Dziękuję panu, dam sobie radę” - odpowiedziała. Od tego dnia w obecności innych byli dla siebie obcymi

ludźmi.

Usłyszała za plecami trzask zamka w drzwiach. Gwałtownie odwróciła się. Chief Dec nerwowo przygryzał górną wargę aż po rzadki, mocno przycięty wąsik.

- Jak może być pani tak nieczuła, tak dręczyć mnie? - skarżył się. - Zna pani moje do niej uczucia.

- Chiefie - odezwała się niepewnym głosem. - Nie robiłam panu żadnych nadziei, nie czuję się wobec pana winną.

- Niech pani tak nie mówi. Muszę mieć tę nadzieję, bo w przeciwnym razie moje życie nie miałyby sensu.

- Skończy się ta reda, spojrz pan na tę sprawę inaczej.

- Znam siebie, nic nie zmieni moich uczuć do pani.

- Wyjdźmy stąd, chcę uniknąć plotek.

- Przecież nie robimy niczego, czego musielibyśmy się wstydzić.

- Właśnie dlatego wyjdźmy stąd - prosiła.

- Pojąć nie mogę, że taka kobieta jak pani, marnuje uczucia na przygody, a gardzi prawdziwym, wielkim namiętym uczuciem.

- Na przygody? - spytała z urazą w głosie.

- Miłosne - dodał.

- Nie rozumiem pana.

- Ach, nie mówmy o tym, wolę zapomnieć. Proszę wierzyć, że pamiętam tylko to, o czym chcę pamiętać.

- Kocham męża - powiedziała. - I nikogo więcej w moim życiu nie ma.

Chief Dec znów przygryzł wargę z wąsem.

- Pani Li - zaczął powoli, jakby się jeszcze wahał czy ma powiedzieć to, o czym wie. - Byłbym ostatnim człowiekiem pod słońcem, który opłakiwałby śmierć. Bistry'ego Cowpera. Wiele o nim słyszałem od ludzi, którzy nigdy nie splamili ust swych kłamstwem. Niestety nic dobrego. Łatwo mi się domyślić, że to nie przyjaźń was łączyła. Mogę to zrozumieć, iż pragnęła pani się go pozbyć.

Lilii zerwała się z taboretu tak gwałtownie, że ten przewrócił się na podłogę, przechył statku pchnął go w stronę łóżka.

- Chiefie, pan ma urojenia! - krzyknęła w szczerym oburzeniu. - Co też

panu przychodzi do głowy! Jakie pan wygaduje głupstwa! To wstrętne!

- Niech mi pani zaufa, Li, ma pani we mnie najwierniejszego z najwierniejszych. Potrafię milczeć i dawać dowody swej wierności, przywiązania. Bo kocham panią, Li.



Kapitan Achrem przesunął na szachownicy gońca i odchylił się w fotelu. Zapalił papierosa.

- Czekanie jest sztuką. Czekania trzeba się uczyć jak sztuki miłości. Bo czekanie to nic innego jak walka z własną miłością, wystawioną na próbę. Czekanie jest największym wrogiem naszej własnej miłości. Niewielu tę sztukę opanowało i tych, którzy jej nie opanowali, muszę oszukiwać.

- Staje się pan cyniczny, przyjacielu - powiedział Scarron.

- To postawa, która pozwala przetrwać najgorsze. Nawet tę przeklętą redę z pięciuset statkami, czekającymi na wejście do portu.

- Godzina zwątpienia?

- Pan mi nie ufa, nie dowierza, podejrzewa o grę, a ja jestem szczery: przyznaję się do strachu przed tą hołotą, jaką mam na pokładzie. Tak, tak. Boję się. I, zdaje się, że mam powody.

- Ma pan świetną załogę. Zdyscyplinowaną. W Wielkiej Brytanii ludzie umieją szanować władzę. A pan dla nich jest przedstawicielem władzy.

- Zdaje się, że ktoś ich przeciwko mnie buntuje. Próbuję dojść kto, ale nie potrafię. O, szach! - ucieszył się przesuważąc pionek.

- Doskonale pan sobie poczyna. Gratuluję, co ja na to? - zastanowił się Scarron. - Bronię się w ten oto sposób.

- Nie ufam tu już nikomu, nikomu! Wszyscy myślą, że ode mnie zależy, kiedy wejdziemy do portu. Przecież to nonsens!

Steward wniósł kawę i zaraz wyszedł.

- Gdybym mógł - powiedział Achrem pokazując głową na drzwi, za którymi zniknął Ramsdell - wsadziłby mi nóż w plecy.

- Jaki miałby powód?

- Tysiąc. Bo ja jestem jego kapitanem, a on stewardem, ja się bawię, gdy

on musi pracować, w moim salonie przesiaduje pan, gra ze mną w szachy, a on musi podawać nam kawę, whisky. - Podał Scarronowi cukier. - Żeby pan widział, jak on patrzy na moją żonę. Chętnie dałbym mu nauczkę.

- Zaleca się do niej?

- Tu na statku nie ma mężczyzny, który by nie myślał o niej. I wydaje mi się, że myśl o niej jeszcze bardziej podżega ich do buntu przeciw mnie.

- Pan, przyjacielu, jest chorobliwie podejrzliwy.

Achrem posmutniał.

- Nie wiem dlaczego, kapitanie, ale mam złe przeczucia. Jakby dobre dni dla mnie skończyły się.

- Dobre dni kończą się przede wszystkim dla tych, którzy paśli się na urzędowych posadach. - Scarron powracał myślami do przewrotu w Nigerii.

- Być może skończą się też dla niektórych kombinatorów ubezpieczeniowych, których bezczelność w wyciąganiu pieniędzy z kas towarzystw przechodzi wszelkie granice. Ale dlaczego my się tym mamy martwić?

Achrem poczęstował go papierosami.

- Dziękuję - rzekł Scarron. - Nie gra się nam dziś najlepiej. Wracam na statek.

- Wykluczone! - sprzeciwił się Achrem. - Nie widzę powodów, by miał się pan spieszyć. Chyba że boi się pan na „Stirlingu” buntu?

- Proszę być spokojnym, „Stirling” ma dobrą, zdyscyplinowaną załogę.

- A więc tym bardziej nie widzę powodów, dlaczego miałby pan już uciekać stąd. Zjemy coś, wypijemy, a potem może pan zadzwonić na „Stirlinga” i dowiedzieć się, czy nie zaczynają na nim wieszać oficerów - zażartował Achrem. - A poza tym - wskazał ręką w stronę bulaju - niech pan spojrzy.

Zniknęło słońce, niebo spochmurniało, woda poczerniała.



# Rozdział 2

Deszcz lunął nagle. Woda z rykiem piorunów opadła na zatokę, osunęła się potężnym wylewem z niebios na statek. Ciężkie strugi bębniły w drewno, blachę, stal. Pokładami rwały potoki, na odpływowych studzienkach syczały wiry. Z rozrąbanego gromami nieba wciąż leciała woda, góry wody. Szango, bóg błyskawic, szalał.

- No cóż, kapitanie - powiedział Scarron zasuważąc na bulaj firankę - skorzystam z zaproszenia i pozostanę u pana.

- Będę z tego rad - odpowiedział Achrem. - Pozwoli pan jednak, że wyjrzę na pokład i zobaczę, co się na nim dzieje. Trochę jestem niespokojny o ładunek.

- Chętnie będę panu towarzyszył - zaproponował Scarron.

- Chce pan zmoknąć? Proszę pozostać. Odszukam żonę, przyjdzie i dotrzyma panu towarzystwa.

Scarron po wyjściu Achrema podszedł do „strażnika zmarłych”, odkrył z chatki wieczko, wyciągnął czaszkę, wolną ręką przeszukał schowek, a nie znajdując w nim niczego, na powrót wsadził czaszkę na swoje miejsce. Zaklął.

Usiadł w głębokim fotelu, przymknął oczy, zamyślił się. Przedłużający się postój na redzie i jego już zmęczył. Nużyła go monotonia podobnych do siebie dni, coraz większe kłopoty z załogą, irytowały chłodne listy od żony, młodej i nieodpowiedzialnej, młodszej od niego o dziesięć lat, a mniej odpowiedzialnej co najmniej o dwadzieścia. Życie - myślał Scarron z zamkniętymi oczyma - przestaje wówczas mieć sens, gdy człowiekowi już o nic nie chce się walczyć, co najwyżej pragnie mieć pijacki szum w głowie, by nie słyszeć tego, czego się po nim jeszcze oczekuje.

Co najmniej pół roku temu Scarron stwierdził, że przegrał życie. Nie, wówczas jeszcze nie używał tego sportowego terminu. Wychodząc w morze, patrząc na znikający za rufą port, uświadomił sobie, że już niczego mu ten

ład, ten port i ludzie dać nie mogą. Znalazł się w pustce, w której nie miało już znaczenia, w jaką stronę zmierza. Nie mógł liczyć na czyjeś podanie ręki, był sam, jak najbardziej samotnym człowiekiem; zawiedziony przez żonę, oszukany, godzący się z samotnością i oszustwem. Zaczął pić. Ledwo udało mu się w porę powstrzymać. Ale po co? Chyba tylko po to, by uświadomić sobie przegraną. Tak, to właśnie wówczas po raz pierwszy poczuł się sportowcem, który kończy ostatni, przegrany bieg.

Na szczęście statek nie wracał do macierzystego portu, gdzie Scarron musiałby przeżywać kolejne upokorzenia, płynął na wielką redę z długim postojem w perspektywie, z prostytutkami i handlarzami, z ciemnymi interesami. Dziewczęta znudziły mu się szybko, jeszcze prędzej, nim nabawił się paskudnej choroby. Wtedy zainteresowali się nim najróżniejszej proveniencji handlarze. Oferowali sprzedaż statku, o którym dawno sądzono, że zatonął, albo kupno całego ładunku ze „Stirlinga”, wreszcie przemyt, piractwo, narkotyki. Rola rozważającego przedstawione oferty bawiła go. Wreszcie był kimś, jeszcze nie podjął żadnej decyzji, a już liczono się z nim. Wreszciezczędzono wydatków na pozyskanie go. Rozsmakował się w tej grze. Było mu dobrze, już nie czuł się tak pusty, oszukany. To on miał szansę brać odwet za swe nieudane życie.

Poprzez jednostajny szum burzy, w przerwie między wyładowaniami elektrycznymi usłyszał skrzyp drzwi. Otworzył oczy. Murzyn Maribou wsunął się przez niewielką szparę do salonu.

- Czego chcesz, Maribou? - spytał Scarron. - Jak się tu znalazłeś?

Murzyn nadzwyczaj szybko i zwinnie jak na swój wiek dopadł fotela, w świetle błyskawicy błysnęła kumbia Tuaregów. Scarron w ostatniej chwili podbił rękę napastnika, nóż przeleciał nad jego głową, a kapitan zważył się ciałem na Murzyna, przydusił go do podłogi.

- Tyyy! - wcisnął mu ten zaimek w uszy z całą nienawiścią, jaką może czuć człowiek do drugiego człowieka. - Ile ci zapłacili? Kto?

Murzyn rzeził, oczy wychodziły mu z orbit, lecz nie próbował nawet odpowiedzieć na pytanie.

- Rzucę cię w paszczę rekinów! - groził Scarron.

Ktoś stukał do drzwi. Kapitan „Stirlinga” zawahał się, jak ma postąpić.

- Ja! - krzyknął w stronę drzwi w stylu kapitanów niemieckich statków.

Steward Ramsdell podszedł do klęczącego nad Murzynem kapitana, przyjrzał się obu.

- Zapasy? - spytał. - Wygrał pan, kapitanie. Położył go pan na obie łopatki.

- Właśnie czekaliśmy na sędziowski werdykt - powiedział Scarron, nie wstając z podłogi, nie wypuszczając Murzyna.

- Żałuję, że nie widziałem walki - westchnął przesadnie Ramsdell. - Musiała być pasjonująca.

- Nie stać mnie na obiektywny o niej sąd - mruknął Scarron - ale wydaje mi się, jeśli mogę wyrazić swoją opinię na jej temat, że spodobałaby się panu, Ramsdell. - Nacisnął kolanem na brzuch Murzyna. - Mam prośbę.

- Zawsze do usług zwycięzcy.

- Czy mógłby pan przynieść coś do związania tego draba?

- A co, nie chce się uznać za pokonanego?

- To była walka o wszystko - wycedził powoli Scarron i znów nacisnął kolanem na brzuch leżącego. Chcę mieć pewność, że mi już nie umknie.

- Przyniosę panu - zgodził się steward.

Wyszedł.

- No widzisz, Maribou, nie żartuję. Zginiesz. Chyba, że zaczniesz mówić o tym, co mogłoby mnie zainteresować - groził i kusił Scarron.

Murzyn z uporem milczał.

- Upór nie zawsze jest dowodem mądrości - stwierdził po chwili Scarron.

- Jeżeli myślisz inaczej, to wkrótce się przekonasz, że się myliłeś. Śmierć w paszczy rekina nie jest lekka. - Scarron z ironią popatrzył na twarz leżącego, znów mocniej nacisnął kolanem brzuch tamtego. - Wątrobę masz do niczego, ale i z taką można by jeszcze żyć, gdybyś był mądrzejszy.

Wrócił steward z kilkumetrową trzypokrętkową liną manilową, rozplótł ją, podał kapitanowi. Scarron zaciągnął na nogach Murzyna pętlę, związał węzłem zaciskowym rękę, opasał sznurem biodra Maribou.

- Niech go bosman rzuci do magazynku - powiedział Scarron, oddychając z ulgą. - Później się nim zajmę.

Wszedł kapitan Achrem z żoną.

- A cóż tu się stało? - zdumiał się gospodarz.

- Mam niewolnika - zaśmiał się Scarron - i jeśli pan pozwoli, zabiorę go ze sobą na statek.

Achrem zwrócił się do stewarda.

- Proszę przywołać bosmana z ludźmi.

Kiedy chwilę później Maribou został wyniesiony, Achrem w obecności Lili poprosił Scarrona o wyjaśnienie incydentu. Scarron opisał napad Murzyna, a na potwierdzenie prawdziwości słów, pokazał leżącą na podłodze kumbię Tuaregów, która na tej szerokości geograficznej była czymś wyjątkowym. Ale na pytanie, dlaczego Murzyn chciał go zabić, Scarron nie potrafił odpowiedzieć. Lub nie chciał.

- Coraz więcej zagadek do rozwiązania - zmartwił się Achrem.



Chief Dec spóźnił się na obiad. Bosman Mintum zgłosił mu o zalewaniu przez wodę jednej z ładowni; podejrzewał, że pękła któraś z rur. Dopiero po dokładnych oględzinach okazało się, że woda burzowa dostawała się przez szyb wentylacyjny, przerdzewiały u nasady.

- Ten statek też trzeba by zatopić - powiedział bosman. - To już pływający wrak.

- Też? - podchwycił Dec i spojrzał badawczo na bosmana, który przeszedł z „Kalipso”. - Czyżby pan wiedział, jak to się robi?

Bosman odwrócił się plecami do chiefa i udawał, że jest pilnie zajęty robotą. Chief pochylił się, by schronić twarz przed deszczem, i w tej postawie przyglądał się krępej sylwetce bosmana, człowieka ponurego, nie budzącego zaufania.

- Więc już pan wie, co robić, by nie lała się do ładowni woda? - krzyknął do bosmana. - Za godzinę powinien pan sobie z tym poradzić.

Przebrał się i już w suchym ubraniu wszedł do mesy, ale nie mógł zapomnieć o tym, co powiedział mu bosman Mintum.

- Pogoda w sam raz dla topienia statków - powiedział siadając do stołu.

Nikt z oficerów nie podjął tego tematu. Steward Ramsdell podał wagę z

zupą.

- Zło dlatego jest tak powszechne, że dziś providencjalizm jest rzadkością - powiedział steward nie patrząc na nikogo.

Scarron poderwał znad talerza głowę.

- Kapitanie Achrem, zazdrozczę panu tak mądrego stewarda. - A potem zwrócił się do Ramsdella. - Nie zdradziłby pan „Obana” dla „Stirlinga”?

- A jest pan pewien, kapitanie, że na „Stirlingu” potrzebny jest steward?

- Oczywiście - odparł szybko Scarron. - Mój obecny steward nadaje się tylko na pomocnika kucharza.

Ramsdell uśmiechnął się kwaśno.

- „Stirling” to stary, zakaraluszony statek.

- Chce pan powiedzieć, że nie wart pana?

- Kiedy patrzę na niego, dziwię się, że się utrzymuje na wodzie.

Achrem skarcił go wzrokiem.

- Przepraszam - powiedział steward i oddalił się.

Scarronowi przestała smakować zupa.

- Niech się pan tą opinią nie przejmuję - usiłowała go pocieszyć Lili. - Dowodzi ona bardziej przywiązania Ramsdella do statku, na którym przebywa od tylu miesięcy, niż fachowego rozeznania, ile jest wart pański statek.

Scarron pokiwał przecząco głową.

- On ma rację. „Stirling” to wrak. Załoga od dawna nie trzyma na nim wartościowych rzeczy, bo wciąż liczy się z możliwością utonięcia. Niestety, jestem wobec tego faktu bezradny.

Głośne, znaczące chrząknięcie chiefa Deca zwróciło uwagę wszystkich. Dec odsunął od siebie talerz.

- Słyszałem od pańskich ludzi, kapitanie, że z innymi sprawami nie może pan sobie poradzić.

- Tak? Z jakimi? - spuścił z tonu Scarron.

- Z narkomanią.

Kapitan „Stirlinga” omal nie zakrztusił się łyżką zupy.

- A to plotkarze! - mruknął z pozorną wesołością w głosie.

- Skąd na redzie narkotyki? - zastanowił się Dec. - Jak trafiają na statek?

Zapachniało mięsem i sosami; Ramsdell wnosił drugie danie. - Temat dla naszej pani Lilii - zauważył steward. - I cóż pani na to, nie podejmie go pani? Byłaby sensacja!

Blask młodości Lilii przyćmiło zakłopotanie; była teraz smutną, starzejącą się kobietą z myślami gdzieś daleko. Kapitan Achrem patrząc na nią, przeraził się.

- Li - chciał ją wyrwać z zamyślenia - czy coś się stało?

Powoli zaprzeczyła ruchem głowy.

- Gdyby pani zaczęła zbierać materiały do artykułu o narkomanii - mówił Dec - chętnie podzieliłbym się kilkoma uwagami. Potrafię nawet znaleźć związek między „strażnikiem zmarłych” a pewnym wydarzeniem. Powiem więcej: śmiercią pewnej osoby.

Piwnie oczy Lilii zmętniały, w rękach zadzwoniły sztucce. Popatrzyła błagalnie na męża, potem na Scarrona. Mężczyźni nie dostrzegli jej spojrzenia albo udawali, że nie rozumieją jej milczącej prośby o pomoc.

- Widzę - rzekł steward - że pan chief rozpoczął dochodzenie na własną rękę. A ja nie zgadzam się, protestuję. To mnie powierzono tę rolę i chief musi sobie znaleźć inną! - mówił z teatralną przesadą.

Dec z apetytem zaczął pałaszować wielkie kęsy odkrawanego mięsa.

- Niech pan będzie spokojny, Ramsdell, nie będę z panem rywalizował. Ot, przypadek dopomógł mi w pewnym wykryciu.

- Szczęściarz z pana - szepnął Scarron.

Chief ponownie zwrócił się do Lilii.

- Cóż z tego, że mam szczęście do przypadkowych odkryć, gdy nie wiem, co z nimi czynić, jak je wykorzystać.

- Sprzedać za jak najwyższą cenę - poradził Scarron.

- Myśli pan, że znalazłbym kupca?

- Wszędzie są ludzie żądni sensacji.

- Ha, kto wie, może spróbuję.

Nad oceanem burza znów przybrała na sile, pioruny eksplodowały z większą częstotliwością, dyluwialna ulewa zatapiała statek.

Ramsdell wymknął się cichcem z mesy. W pentrze krzyknął w szyb windy do kuchni „schodzę” ale do kuchni nie zszedł, nie miał takiego

zamiaru. Pobiegł do sterowni, cicho otworzył do niej drzwi, zajrzał do środka. Marynarz wachtowy spał w kabynie nawigacyjnej. Spojrzał w bulaj: przez strugi ulewy ledwo widać było ładownie.

Zbiegł do swej kabiny, założył płaszcz nieprzemakalny z kapturem i wyszedł na pokład. Rozsupłał węzły na sznurach przytrzymujących łódź, którą przyplynał Maribou, rzucił je za burtę. Chwilę patrzył, jak prąd porywa łódź, unosi w mrok zatoki.

Przemknął pod pokład dziobowy do magazynu bosmana, gdzie umieszczono związanego Maribou. Otworzył kłódkę, zdjął ją z drzwi. Przekręcił kontakt światła. Murzyn leżał na papierowych workach, na widok stewarda wykrzywił w grymasie niechęci twarz.

- Gdybym cię wyrzucił za burtę, tak jak ty naszego oficera, nikt by nie zauważył - mówił powoli, by tamten dobrze go zrozumiał. Odczekał chwilę, Maribou nie zaprzeczał, z kamienną twarzą patrzył na stewarda, który przysiadł na stołku. - Ale dlaczego miałbym cię zabijać? Jesteś mi potrzebny żywy. Jednak nie mam pewności, czy i inni także chcą tego samego, czego ja chcę. Prawdopodobnie za kilka minut przyjdzie tu ktoś, kto nie pytając cię o nic, wyniesie cię z magazynu i rzuci za burtę. A tam w oceanie, jak wiesz, szans na ratunek nie masz żadnych. Więc decyduj się, przyjacielu: albo będziesz grzeczny, posłuszny i szczerzy ze mną, albo cię pozostawię dla kogoś, kto na pewno przyjdzie tu, by cię załatwić.

Dolna warga Murzyna drgnęła lekko, po chwili owo delikatne, ledwo uchwytnie drżenie przeniosło się na drugą wargę, na powieki, zaczęły drżeć policzki, trząść się głowa.

- Widzę, że się dogadamy - powiedział z ulgą Ramsdell. - Musisz mi zaufać. Jestem na tym statku ostatni, który zrobiłby ci krzywdę. Zaufaj mi. - Murzyn na znak wiary w tę opinię, przytaknął głową. - Przekonaj mnie, że mi ufasz. - Maribou znów przytaknął głową. - Pomyliłeś się, ów „strażnik zmarłych”, którego wzięłeś z izolatki, nie strzegł czaszki nikogo z twojej rodziny, prawda?

Z gardła Murzyna wyrwał się cichy jęk.

- Czyż nie tak? - niecierpliwiał się Ramsdell.

Murzyn skinął głową.

- Chyba nawet wiem, jakiego „strażnika zmarłych” poszukujesz. - Wyjął z kieszeni składany nóż. - Pomogę ci, Maribou, ale bądź rozsądny, nie rób głupstw. - Zaprowadzę cię do takiej kryjówki, że cię nikt nie znajdzie. Za dzień, za dwa zabiorę cię stamtąd.

Przeciął sznury krępujące nogi.

- Chodź.

Wyprowadził go na pokład, w deszcz. Zamknął drzwi, zawiesił kłódkę, przekręcił w niej zamek. Popchnął Maribou lekko do przodu, pobiegli w stronę nadbudówki. Wprowadził Murzyna na dolny pokład, a stamtąd w korytarz prowadzący do magazynu bielizny.

Murzyn jak psiak otrząsnął się z deszczu, steward uwolnił mu ręce, wskazał na karton w kącie pomieszczenia.

- Tam masz jedzenie, picie. Wkrótce zajrzę do ciebie i znów ci coś przyniosę. Bądź spokojny, nie zapomnę o tobie.

Zrzucił w swej kabinie płaszcz, wytarł twarz ręcznikiem.

Zajrzał do kuchni. Esmerindo Epifanio, Nikaraguańczyk, podniósł znad talerza głowę, jego oczy przepełnione melancholią pytały stewarda, po co przyszedł.

Ramsdell w kuchni był rzadkim gościem. Kucharz go nie lubił, czuł wobec niego kompleks niższości, równocześnie pogardzał kimś, kto jest tylko stewardem usługującym oficerom. Steward nie darzył sympatią kucharza, bo ten nie zabiegał o jego względy w taki sposób, w jaki to czynią kucharze na innych statkach, troszczący się o to, aby łącznik między kuchnią a mesą był zyczliwie usposobiony do truciciela.

- Epitafio - powiedział steward stając, jak to było w jego zwyczaju, w progu, opierając się o futrynę drzwi - zdaje się, że kapitan Scarron zabawi u nas, dłużej. Weź to pod uwagę, wiesz, że lubi dobrze zjeść.

- Czy ma jakieś specjalne życzenie? - spytał obojętnie kucharz.

Steward roześmiał się.

- Czy wiesz, co on twierdzi? - Zrobił krótką pauzę.

- Że najlepszym znawcą kuchni w Zatoce Benin jest Biały Diabeł!

Kucharz widelcem zgarnął z talerza ostatnie okruszyny ziemniaków.

- A kto to jest ten Biały Diabeł? - spytał z tą samą obojętnością co



poprzednio.

- Nie słyszałeś o nim? - udał zdziwienie Ramsdell.
- Dlaczego miałbym słyszeć?
- Kucharze zawsze najwięcej wiedzą.
- Nie należę do tych, którzy plotkują.
- Trudno mi uwierzyć, że o nim nie słyszałeś - upierał się Ramsdell.
- A jeśli słyszałem, no to co?
- Naprawdę tak dobrze zna się na kuchni?
- A cóżeś się tak jego uczepił, Ramsdell?
- Przypomniało mi się, co o nim ludzie mówili.
- Jacy ludzie? - ciągnął kucharz.
- No, chociażby Scarron.
- Więc pytaj Scarrona.
- Będę musiał - przyznał niechętnie steward.

Kucharz powrócił do przerwane go posiłku, sięgnął po kubek z kompotem i zajął się nim gorliwie, nie zwracając już uwagi na stewarda.



Lilii, Achrem i Dec jeszcze byli przy deserze, gdy Scarron wstał od stołu, przeprosił towarzystwo, tłumacząc się, że chce porozumieć się ze „Stirlingiem”. Dec zamierzał mu towarzyszyć, Scarron podziękował uprzejmie, powiedział, że jego nieobecność nie potrwa dłużej niż kilka minut, prosi, by zaczekano na niego z kawą.

Po wyjściu Scarrona chief Dec zauważył, że kapitan „Stirlinga” stał się nerwowy, nie potrafi tej nerwowości ukryć, zdradzają go pewne gesty, a najbardziej twarz.

Zwrócił się do Lilii.

- A wie pani, co najbardziej mnie rozbawiło. - Zaśmiał się krótko. - Że i on chce kupić „strażnika zmarłych”. Wyobrażam sobie, jak te rzeźby pójdą w górę.

Ramsdell stanął na progu pentry, chrząknął znacząco, zwracając tym na siebie uwagę wszystkich siedzących w mesie.

- Kiedyś pływałem z facetem, którego przez jakiś czas przezywano Wesołym Maxem. Na naszą łajbę chyba od trzydziestu lat czekali zbieracze złomu i tysiąc głodnych Chińczyków, którzy ze szcurzych stad, jakie rozmnożyły się pod pokładami, mogliby przez miesiąc utrzymać przy życiu swe wielodzietne rodziny. Miała ona jednak swoje zalety. Cokolwiek byśmy zrobili dla poprawienia jej wyglądu, i tak na nic by się to zdało, więc można było na niej całe miesiące palcem nie ruszać i też w porządku. Poza tym miała tyle zakamarków najcudacznieszych w śródookręciu, na dziobie, na rufie, że dla upilnowania hołoty potrzeba by tylu bosmanów ilu dejmanów. Zgodzicie się chyba, że najlepiej ludzie poznają się w czasie próżnowania. Łazi się od burty do burty, z mesy na pokład, z tym pogada, tamtemu coś powie i tak czas leci na wzajemnym poznawaniu się. Maxa nie miałem już co poznawać, jak dwie chabety przy jednym dyszlu znaleźliśmy się, więc słów niepotrzebnych nie rzucaliśmy na wiatr, ot tyle, ile między gesty i spojrzenia koniecznym było wepchnąć. Wystawiamy wieczorem na pokrywę ładowni leżaki, wyciągamy się w nich, chwytamy w uniesione nad głowami dłonie ledwo odczuwalny ruch powietrza, który nie może być nazwany wiatrem, a poza tym, gdyby wiał wiatr, niekoniecznie musiałby dmuchać taki, jaki był potrzebny, od czasu do czasu patrzymy na siebie sennie, melancholijnie, bo pod tą szerokością geograficzną wszystko jest przesycone sennością i melancholią jak pod naszą reumatyzmem, cedzimy słowo, zdanie i znów zapadamy w melancholijno-senne milczenie. W taki wieczór Max zaczął: „Chrystus chciał uwolnić człowieka od ubóstwa, Budda od cierpienia, a kto pomoże nam w pomniejszeniu tęsknoty?” A ja kończyłem: „Tęsknota w taki wieczór jest czymś równie normalnym jak choroba nerek czy wątroby u pijaka”. Skinął głową. „Za mało rośnie drzew Bo, stary, za mało, pod którymi można by było doznać objawienia”. Przytaknąłem mu, po chwili dodałem: „Nie myśl o żonie, nie będziesz cierpieć”. Max na to: „Bogini miłości, Rati, jest córką Mary, bogini zła, ciemności”. Wtedy ja: „Za trzy, cztery miesiące będziemy mogli naszym żonom powiedzieć: wiemy, co to cierpienie zaprawione tęsknotą”. Odczekał chwilę. „Boję się, że to cierpienie zrobi ze mnie mizoginistę albo...” Słowo daję, że tak gadaliśmy, plotąc trzy po trzy, i że on tak na końcu powiedział, niczego nie dodałem, on, tak

przypuszczam, czuł już wtedy, co się z nim dzieje, domyślał się, był przecież człowiekiem inteligentnym, więc mógł przewidzieć, dodać to małe, wówczas nic nie znaczące a 1 b o... W taki właśnie wieczór patrząc na niego, dostrzegłem w jego twarzy coś, co mnie zastanowiło. Nie, to jeszcze nie była ta twarz, która mogłaby mnie zaniepokoić okrutnym podobieństwem do mojej, ale już było w niej owo coś, co rzucało się w oczy. Nie powiedziałem wówczas nic, tylko wcześniej niż zwykle opuściłem pokład i położyłem się spać. W kilka dni później dobiliśmy do portu. Unikałem Maxa, sam pobiegłem do miasta. Cały dzień pałętałem się po ulicach Wiszakhpatnamu bez celu, wściekły na wielotysięczny tłum rozpychający się ulicami, i na coś jeszcze wściekły, czego nie potrafiłem wówczas określić. Wieczorem zmęczony wracam do portu i - jak myślicie, kogo spotykam przy trapie? A, do licha, to przypadek, że o tej samej porze co i ja wraca Max, ale żeby i on z posążkiem Buddy z Kamakury? Wyobrażacie sobie coś podobnego? Patrę na niego, a jego gęba... Tak, do licha, jakbym w lustro patrzył! I on to samo zobaczył! Najpierw posążek Buddy z Kamakury, a potem moją gębę podobną do jego gęby. Przepuściłem go trapem pierwszego, wsunąłem się za nim do kajuty, zamknąłem drzwi, postawiłem posążek na stole obok posążku Maxa. „Co to jest? Co to znaczy?” - wybełkotałem. Sapał mnie za gardło. „To ja pytam. Nie, nie pytam. Mógłbym spytać, ale nie spytam, nie będę, bo wiem”. Uwolniłem się od uścisku. „Stary, co tobie, oszalałeś?” - wykrztusiłem z siebie. Chwycił za nóż. Widzicie tę bliznę? Kto zna Maxa, ten wie, że i on ma w tym miejscu takiej samej szerokości... Po powrocie do kraju posłano nas na badania lekarskie konieczne do przedłużenia książeczki zdrowia. Max przypadł u psychiatry. Kamień spadł mi z serca, gdy wychodząc w rejs, nie zobaczyłem go na pokładzie. Wałęsałem się po świecie pół roku, wracam do kraju, a żona mówi: „Powinieneś go odwiedzić”. Pobiegłem więc do dzielnicy, gdzie mieszkał Max, o tej porze roku melancholijnie tam, sennie jak w krainie, przez którą przeszedł Siddaharta Guatama z Kapilawastu. Max, kiedyś zwany Wesołym, siedział zgarbiony nad kanałem, patrzył w nieruchomą toń i lekko poruszał ustami, jak gdyby szeptał modlitwę. Pozdrowiłem go, ale nie odpowiedział mi. Usiadłem obok. Chmura komarów przeleciała nad naszymi głowami, potem

jaskółki, zaskrzeczały gdzieś w pobliżu żaby. Milczeliśmy. Czułem, jak po moich plecach sączy się strużka potu. Byłem podniecony. Rzuciłem w wodę grudę ziemi. Max popatrzył na mnie mało co widzącymi oczyma, osadzonymi głęboko, jakby zapadającymi się w dwa ciemne kratery oczodołów. Do licha, ta jego okropna gęba, ta gęba, której brzydoty nie potrafiłbym opisać bez lęku, że jego gęba znów może stać się moją gębą. Wolę więc milczeć, a wy uwierzcie, że była to gęba odrażająca. Siedzieliśmy tak do zmierzchu, nie mówiąc do siebie nic, ja byle jak, on z uniesionymi kolanami, w pozie medytacji - jogasana. Potem usłyszałem za plecami czyjeś kroki, więc odwróciłem się. Żona Maxa, niepodobna do tej, jaką znałem, o twarzy zszarzałej, ciele nabrzmiałym otyłością niezdrową, ciężkimi stopami stąpała twardo, szczudłowato. „Psiakrew, wieczne utrapienie z tym Buddą Pięknogębym, całe dni nad wodą siedzi, cierpliwości się ucząc, spokój odzyskując niby, a diabła warta taka kuracja, na statek nie wróci, wzięłby się za robotę, by człowiek koniec z końcem mógł związać...” I tak męła jęzorem przez pół godziny, aż mi wstyd. Było słuchać i żal Maxa, że go tak lekceważy przy mnie. W dwa lata później moja żona znów namówiła mnie, bym poszedł do niego. Na progu domu powitała mnie żona Maxa, wielka kluska, przepasana metrami perkalikowego materiału. „Gdybym to dowiedzieć się mogła, kto na niego miał tak zgubny wpływ, dobrałabym mu się do skóry, bo nie wierzę, by zło samo z siebie brało się”. Przerwałem jej to gadanie pytaniem o Maxa. Pokazała mi posążek Buddy z Kamakury. „Powiedział, że jest Buddą, wziął kapelusz, kij i poszedł... w świat. W ostatnim domu koło grobli potrzebowano pomocnika w gospodarstwie, sad zakładają, drzewa sadzą. Zgodził się. Powiedział, że będzie sadił drzewka Bo. Głupek zupełny”. Nie poszedłem do Maxa, nie miałem mu do zaproponowania lepszego zajęcia.

- Ramsdell, po co nam pan to opowiada? - spytał Achrem. - Czy to jakaś aluzja do „strażników zmarłych”?

- Jeszcze się nie domyśliłeś? - odezwała się Lili. - To przestroga.

- A przed czym nas pan przestrzega? - wciąż nie rozumiał kapitan.

- Przed niebezpieczeństwem - odpowiedziała za stewarda Lili.

- Jakim?

- Przed niebezpieczeństwem wiary, której się nie poznało dostatecznie.

Kiedy Scarron nie zjawił się po piętnastu minutach, Achrem zauważył, że zbyt długo każe na siebie czekać. Wszyscy wstali od stołu, opuścili mesę. Poszli do swych pomieszczeń. Gdy chief Dec otworzył drzwi swojej kabiny, krzyknął przerażony. Na podłodze leżał kapitan Scarron.

- Kapitanie, co panu? - pochylił się nad Scarronem.

Zbliżył się Achrem, podeszła Lili.

- Żyje? - spytała.

- Zdaje się, że jest tylko ogłuszony. - Achrem rozejrzał się. - Prawdopodobnie tym oto posążkiem.

- To pański? - spytał Achrem Deca.

- Tak - przyznał.

- Widzę, że też jest pan kolekcjonerem.

Dec rozejrzał się po kabinie.

- Zginął „strażnik zmarłych”.

Lili była bliska omdlenia. Osunęła się na ramię męża, głowa opadła jej na piersi.

- Li - pytał Achrem - Li, co tobie? - Zwrócił się do chiefa. - Niech pan poda wodę.

Dec otworzył butelkę z wodą sodową, napełnił szklanę, podał kapitanowi.

- Kochanie, słyszysz mnie? - pytał Achrem spryskując twarz żony wodą.

Powoli dochodziła do siebie.

- Oni mnie zamordują - wyszeptała półprzytomna. - Zamordują - powtórzyła raz jeszcze, szukając rozgorączkowanymi oczyma pomocy u męża.

- Uspokój się, jesteś przy mnie, nic ci nie grozi - zapewniał.

Do przytomności dochodził też Scarron.

- Chciano mnie zabić - powiedział.

- Kto? - spytał Dec.

- Człowiek w masce kalebue.

Na ścianie wisiała obrzędowa maska, nieco przekrzywiona, jakby ktoś zawieszał ją w pośpiechu.

- Morderca jest na statku, na pańskim statku - rzekł Scarron, patrząc na Achrema.

- Jest pan pewien, że chciał zabić? - spytał Dec.

- Tak - odparł stanowczo Scarron.

- Kapitanie, a co pan robił w kabinie chiefa, pod jego nieobecność? - spytał Achrem. - Miał pan iść na mostek.

Scarron nie poczuł się zakłopotany tym pytaniem.

- Przechodząc korytarzem, usłyszałem w kabinie jakieś głosy. Wiedziałem, że chiefa jest w mesie, więc postanowiłem sprawdzić, co się tu dzieje. Zastukałem. Nikt nie odpowiedział mi, więc wszedłem do środka. Naprzeciwko mnie stał człowiek w masce kalebue. Potem już niczego nie pamiętam. To był silny mężczyzna.

- Czyżby napastnikowi zależało na moim „strażniku zmarłych”? - zastanawiał się Dec. - A Scarron był przypadkową ofiarą? A gdybym to ja był na miejscu kapitana Scarrona, czy żyłbym jeszcze?

- Tak pan sądzi? - rzekł Achrem.

- Oczywiście, skoro zginął tylko mój „strażnik zmarłych” - powiedział Dec.

Do kabiny Deca zajrzał Ramsdell.

- Co tu się dzieje? - spytał, stając w otwartych drzwiach. - Czyżby znów morderstwo?

Achrem w kilku zdaniach wyjaśnił przyczynę zgromadzenia się w kabinie chiefa.

- A zatem morderca nie chce poprzestać na jednej zbrodni.

- Raczej nie może - mruknął Dec.

- Tak - zgodził się Ramsdell - raczej nie może.

Wszystkich obecnych w salonie kapitana owładnęło ponure przygnębienie. Nawet alkohol nie był w stanie zmienić tego nastroju. W uciążliwą ciszę wdzierały się odgłosy burzy, grzmoty piorunów i bębnienie deszczu. Od czasu do czasu brzęknęła jeszcze szklanka, ktoś chrząknął. Na stole, przy którym siedzieli mężczyźni, leżała szachownica z poprzewracanymi pionkami. Lili wcisnęła się w głęboki fotel w kącie salonu, położyła głowę na oparciu, zamknęła oczy. Między kapitanami,

chiefem Decem a Lili bezgłownie kręcił się steward, dbający o to, by szklanki nie były puste.

- Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków - przerwał wreszcie przedłużające się milczenie Scarron - ale dwa napady na mnie w ciągu kilku godzin, to nie przypadek. Tak sędzę. Obym się mylił.

Nikt z obecnych nie próbował odwieść go od tej myśli, więc Scarron ciągnął swój wywód dalej.

- Mam na statku przyjaciół, ale też muszę mieć wroga. Kto nim jest? Dlaczego? Próbuję sobie na to pytanie odpowiedzieć, lecz nie potrafię. Może ktoś z państwa pomoże mi?

Achrem pociągnął ze szklanki tęgi łyk.

- Mimo wszystko na to pytanie panu byłoby najłatwiej odpowiedzieć - rzekł. - Czy nie podejrzewa pan kogoś?

Scarron zastanowił się.

- Nie, nikogo.

- Bywa pan na tym statku często, wystarczająco często, by zyskać sobie wroga.

- Wroga? - powtórzył Scarron. - Mam tylko przeciwnika, przeciwnika w grze w szachy i jest nim pan, Achrem. I nie widzę powodów, by musiał pan na mnie nasyłać płatnego mordercę.

- A zatem przypuszcza pan - włączył się do rozmowy chief Dec - że Maribou napadł na pana, bo ktoś mu kazał?

Scarron zmrużył brwi.

- Ale dlaczego, z jakich powodów miałyby na mnie napadać Murzyn, któremu nigdy nie zrobiłem krzywdy, nie powiedziałem złego słowa?

- Może był to przypadek?

- I po raz drugi staję się ofiarą przypadku w pana kabinie? Gdyby tak było, musiałbym należeć do bardzo pechowych ludzi.

- Z tego wynika, że nie tylko Murzyn jest pana wrogiem.

- Tak, Maribou jest unieszkodliwiony, więc nie mógł na mnie napaść w kabinie chiefa.

- Może należałoby z nim porozmawiać, przesłuchać go?

- Jeśli kapitan Achrem wyrazi zgodę - zastrzegł się Scarron.

- Proszę bardzo - Achrem zwrócił się do stewarda. - Niech pan każe sprowadzić Murzyna.

Ramsdell bez słowa opuścił salon kapitana, wstąpił do swojej kabiny, by założyć nieprzemakalny płaszcz, i bez przekonania wyszedł na pokład. Myśląc o tym, jak wyjaśnić nieobecność Maribou w magazynku, powoli zbliżał się do pokładu dziobowego, Stanął przed drzwiami i już miał zamiar zawrócić, gdy jego wzrok padł na rozerwaną kłódkę. Ktoś starał się dotrzeć do Murzyna! Jego przypuszczenie, że Maribou grozi śmierć, sprawdziło się.

Zawrócił w stronę śródokręcia.

- Ktoś włamał się do magazynku bosmana i uwolnił Murzyna - poinformował kapitana Achrema. - Jeżeli pan chief pozwoli, pójdę na mostek. Może marynarz wachtowy coś wie?

Scarron zerwał się z fotela.

- Nieprawdopodobne! Uwalniać Murzyna! Dlaczego? - Rozejrzył się po obecnych. - Co o tym sądzicie? Kto miał interes, by Murzyn znalazł się na wolności?

Wstał również chief Dec.

- Nie jestem pewny, czy w tym przypadku chodziło o uwolnienie Murzyna.

- Przecież go nie ma!

- Ale to nie znaczy, że jest na wolności.

Steward z uznaniem spojrzął na chiefa.

- Przypuszcza pan, że komuś zależy na Maribou?

- Wydaje mi się, że Maribou jest kluczem do zagadki. Ktoś o tym wie i temu komuś zależy, by nie rozwiązano owej zagadki.

Achrem przeszedł się po salonie, po chwili stanął przed stewardem.

- Wciąż pan wierzy, że uda się rozwiązać tę zagadkę?

Spytany twierdząco skinął głową.

- Rozwiążę, kapitanie, na pewno rozwiążę, ale potrzebuję na to jeszcze trochę czasu.

Udał się na mostek, lecz marynarz wachtowy w niczym mu nie dopomógł; niczego nie widział, nic nie słyszał.





Lilii opuściła salon, przeszła do sypialni. Zmęczona burzą, wydarzeniami, nie rozbierając się, położyła się na koi. Zamknęła oczy, chciała zasnąć. Odkąd znalazła się na redzie, lubiła spać, bo nawiedzały ją sny, przez które przechodziła jak przez horyzonty. I sny, i ona gubiły się na granicy istnienia i nieistnienia, na linii wody i nieba. Nieraz budziła się w nocy i patrzyła w bulaj, wychodziła na pokład i spoglądała w niebo, na gwiazdy.

Kiedy płynęła na redę, zdumiewało ją wszystko, co stanowiło jej otoczenie, podniecała ją myśl o czekającej' przygodzie. Ale kiedy statek zakotwiczył już na redzie, przestała pisać, otepiała.

Wrażenie bezsensu życia, nijakości nie mijało, przeciwnie - pogłębiało się, i ani wypadki do miasta, ani wizyty na innych statkach jej samopoczucia nie poprawiały. Na dnie jej duszy, pustej, jałowej, tłukł się niepokój, miłość ustępowała wątpliwościom, Achrem - Bestry'emu.

Ostatni wiersz, jaki zapisała już na redzie, mówił o upływie czasu.

### *Podróże gorzkie i cierpkie*

podróże w mroku w burzy w błocie

gwiazdne i słoneczne

dokądś i donikąd

tłumne i samotne

bliskie i dalekie

Ptaki przynoszą wiosnę

po wiośnie na skroniach

coraz bardziej włos bieleje

w gazetach pisano

pierwsze pokolenie

drugie pokolenie

trzecie pokolenie.

Czas kurczy się i maleje

Ktoś nowy zaczął podróże

ku horyzontom  
niech płynie

Usłyszała kroki, potem zobaczyła cień męża na ścianie kabiny. Zacisnęła powieki, udała, że śpi.

- Li - mąż pochylił się nad nią, poprawił na czole kosmyk włosów. - Śpisz?

Nie odpowiedziała.

Poczuła na czole pocałunek.

Kiedy Achrem wyszedł z sypialni, odwróciła się na bok, wtuliła głowę w poduszkę, zapłakała. Płacząc zasnęła. Wówczas jeszcze raz usłyszała kroki w sypialni, zobaczyła na ścianie cień mężczyzny, lecz nie był to cień Achrema.

Poczuła na policzku chłód dłoni, opuszki palców dotykały podbródka, czoła, zamkniętych powiek, rzeźbiły jej twarz, wicherzyły włosy. Nie było to dla niej przykre, jednak zrobiła ruch głową, który miał dowodzić wręcz coś przeciwnego.

- O czym myślisz? - pytał Bestry. - Czy budzę w tobie wstręt?

Milczała.

- Boisz się powiedzieć, co czujesz?

Ścisnął jej ramię.

- Zrobisz, co ci każę i bez względu na to, co do mnie czujesz!

Co czuła? Nic. Ani szacunku, ani lęku, ani życzliwości; ani nienawiści. Bestry był dla niej obcym mężczyzną, który wdzierał się w jej sen. Był zbyt natrętny, nie pozwalał odpocząć. I to wszystko, tylko tyle. A że groził? We śnie nie jest to takie istotne.



Z nieba wciąż spływał ocean, błyskawice na sekundy rozdzierały ciemności, pioruny uderzały w zatokę. Na statku zepsuła się klimatyzacja, w salonie kapitana było duszno, mężczyźni siedzieli w wilgotnych koszulach.

Ramsdell przypomniał sobie rejsy za koło podbiegunowe. Był czterysta

kilometrów za nim. Widział, jak słońce w godzinach nocnych dotykało horyzontu i ponownie wznosiło się. Płynął między spokojnym morzem a chmurnym niebem. Po prawej burcie raz po raz morze odsłaniało grzbiety skalistych wysepek, biegło na stoki fieldowego płaskowyżu, rozbijało się o pionowe ściany gór. W fiordzie między Soroy a Seiland niewiele było śladów człowieka. I tak wszędzie. Można przepłynąć sto razy Geirangefliordem, podziwiać go, zachwycać się przyrodą, ale żyć by się tam nie chciało. Radowała świadomość, że człowiek zdał tam swój egzamin, że ktoś z ludzkiej wspólnoty sprawdził się w walce z naturalnymi warunkami, ale równocześnie odczuwało się ulgę, że większości ludzi oszczędzono tego doświadczenia.

Wspomnienia Ramsdella, whisky poprawiły nastrój w salonie, mężczyźni stali się rozmowniejsi, chętnie sięgali pamięcią do swej przeszłości.

- Jadł pan ślimaki? - spytał w pewnej chwili Scarron Achrema.

- Nie, nie jadłem - odpowiedział tamten.

- Włosi - mówił Scarron - rocznie pałaszują około czterysta tysięcy kwintali mięczaków, sto tysięcy kwintali skorupiaków, dwa miliony kwintali ryb i trzydzieści kwintali głowonogów. Potrafią, też z jedwabistych nitek na przykład racicznicy wyrabiać tkaniny. Na zalewach Albi, Ganzirrii i innych założyli hodowle omułek.

Achrem milczał.

- Więc nie jadł pan ślimaków! Szkoda. Niektórzy uważają, że to świństwo, a ja myślę tak: człowiek konsumuje to, w co obfituje najbliższe środowisko. Wiecie, że na terenie naszego kraju stwierdzono występowanie amonitów, głowonogów dochodzących do średnicy dwóch metrów? Na pewno w smaku nie ustępowałyby włoskim delicjom.

- Myślę - odezwał się Dec - że mimo wszystko pozostalibyśmy wierni bekonowi.

- Wątpię! - zaśmiał się hałaśliwie Scarron. - Jadłby, pan, chiefe, amonity?

Jego rozbawienie przerwane zostało stukaniem do drzwi. Wszedł radiooficer Knox.

- Kapitanie - zwrócił się do Scarrona - mam dla pana złą wiadomość.

Scarron spojrział zdziwiony.

- Dla mnie? Znów ja jestem kozłem ofiarnym?

- Odebrałem sygnał z pańskiego statku - zrobił krótką pauzę. - Źle powiedziałem, to był sygnał nie ze statku, a już z łodzi ratunkowych.

„Stirling” utonął.

Scarron zerwał się z fotela.

- „Stirling” utonął? - powtórzył jak echo. - Co pan opowiada!

- Tak, kapitanie, „Stirling” utonął.

# Rozdział 3

Tuż przed zapadnięciem nocy chief Dec zaprosił do siebie oficerów na szklankę white horse z lodem. Zaskoczył ich tą propozycją. Unikano go, bo nikt naprawdę nie wiedział, czego chciał od innych i co w zamian mógłby dać, co myślał, gdy zgadzał się z czyjąś opinią, co sądził naprawdę, kiedy twierdził, że nie popiera czyjegoś stanowiska. Do drzwi jego kabiny nikt nigdy nie zastukał, a jeśli już ktoś koniecznie musiał z nim natychmiast zamienić kilka słów, korzystał z telefonu. Z gryziona w zębach wykałaczką, mrużąc oczy, krążył po górnych i dolnych pokładach, przystawał koło ludzi, słuchał, co mówili, nieraz nawet odezwał się, ale nikt nie potrafił zgadnąć, dlaczego jest taki niespokojny.

Polecił stewardowi przygotować w swym saloniku wszystko, co trzeba do przyjęcia, osobiście dopilnował, by z kantyny pobrano na jego rachunek odpowiednie alkohole, papierosy i po wydaniu szczegółowych dyspozycji wyszedł na pokład szalupowy.

Ulewa ustała. Tropikalna noc zapadła niepostrzeżenie, nagie, światła lamp z trudem przedzierały się przez gęstą i lepłą czern, smużąc po przedmiotach niewyraźnymi odbłyškami w rytmie monotonnych przechyłów statków. Obok „Obana”, zanurzony w czern wody i nocy od stępki aż po maszt antenowy, kołysał się grecki parowiec „Samos”, nieco dalej panamski motorowiec, a potem angielski, francuski, znów grecki... Ich światła pełzały po fali, tonęły w oceanie, to wynurzały się ku drobnym punktom gwiazd, których obecność przypominała o bezlitosnej prawdzie ludzkiego istnienia od horyzontu do horyzontu. Poczł pospieszne bicie serca. Nie myślał o niczym, patrzył na gwiazdy, tylko patrzył na nie, a serce samo zaczęło przyspieszać rytm pracy, wbrew jego świadomości gnając ku czemuś, wyprzedzając fakty lub wracając do tych, które można już tylko odnaleźć wśród gwiazd.

Nie chciał o tym myśleć, więc przeszedł na drugą burłę, popatrzył w

stronę niewidocznego ładu. Odwrócił się gwałtownie do oświetlonej nadbudówki, położył dłoń na lewej stronie klatki piersiowej i powoli zaczął się przesuwac w stronę zamkniętych dębowych drzwi korytarza.

Jestem człowiekiem samotnym - pomyślał o sobie ze współczuciem - i tak już musi być - pogodził się z tym szybko i bez trudu cofnął się w swoją samotność, wieczną samotność, towarzyszącą jego życiu jak skorupa ślimakowi.

Kiedy wśród gości nie zjawila się Lili, posmutniał jeszcze bardziej. Nie żałował whisky, często wznosił toasty, ale nie potrafił się bawić.

Koledzy plotkowali o nieobecny kapitanie i jego żonie. Duun nie mógł zrozumieć Lili, że zgodzila się na afrykański rejs, zamiast w podróż poślubną płynąc do Wenecji.

Wenecja - zamyślił się Dec. Był tam kilka razy.- Ilekroć z pokładu statku stawały się widoczne zarysy miasta na lagunie, nie siedział dłużej w kabinie. Lubił na Wenecję patrzeć z różnych odległości, perspektyw, zawsze odnajdując coś nowego dla oczu, choćby to na przykład była inna gra kształtów na wodzie, inne cienie, kładące się na architektoniczne kompleksy. Wenecja najwspanialsza jest z reddy. Z tej odległości nie istnieje jeszcze Ca'd'Oro czy Ca' Rezzonico, Piazza San Marco czy Ponte Rialto ani Basilica della Salute czy Torcello. Wenecja oglądana z Zatoki jest mitem o najpiękniejszym mieście na stu osiemnastu wysepkach Laguny Weneckiej, ze stu sześćdziesięcioma kanałami, z przeszło czterystu mostami. Wenecja oglądana z Canale di San Marco, z Canale della Giudecca czy wreszcie Canale Grandę choruje, ściany jej domów okrywają liszaje, egzema, a czarne gondole kołyszą się przy palach i czekają na udział w najsmutniejszym pogrzebie miasta.

Nigdzie tak okrutnie nie daje o sobie znać samotność, jak właśnie w tym mieście za Litorale di Lido. Z tą świadomością wskakuje się do autobusu z Mestre i Marghery do Piazzale Roma w Wenecji, korzysta się z vaporetti, by jak najszybciej znaleźć się na Lido, w którymś z kin, gdzie grają Pasoliniego „Dekamera”, „Opowieści kanterberyjskie”, „Kwiat tysiąca i jednej nocy”. Albo w najgorszym razie uwięznąć w bocznej uliczce, w cichej trattorii przy stole z cieniem rzucanym przez kolorową markizę, przy winie i frutti di

marę.

Kiedy był ostatnio w Wenecji, nie grano Pasoliniego.

Terre dell'Orologio pogrążał się w coraz głębszym mroku. Dzwon nad skrzydlatym lwem, herbem Wenecji, regularnie odmierzał czas.

W bocznej uliczce znalazł cichą trattorię.

Woda w kanale pociemniała, puste gondole z cichym pluskiem ciągniętych za rufami żerdzi dobijały do ścian domów, w których oknach rozbłyskiwało światło elektrycznych lamp.

Zawołał barmankę. Wyszła ze snu. Stała pod łukiem wonnych kwiatów ze smutkiem i zmęczeniem na twarzy. Podniósł pusty dzban, podał jej. Wzięła z jego rąk i odeszła w swój sen, zmęczenie, piwniczny chłód. Nie czekał, aż wróci. Wybiegł stamtąd. Chodził między statuą św. Teodora a lwem św. Marka, wtapiał się w tłum krążący po placu, to znów uciekając przed nim ulicą wzdłuż Canale della Giudecca, niespokojny i niezadowolony, pytał sam siebie, gdzie teraz powinien być, w jakim towarzystwie, w jaki sposób wykorzystując czas.

Nad Wyspą św. Jerzego, Isola Giudecca, Lido festynową iluminacją zapłonęło niebo. Woda z chłodnym odbiciem tego pożaru niespokojnie tłukła o brzeg. Ostatnie gondole dobijały do przystani. „Panie” - usłyszał za plecami męski głos. „Nie wiesz, co robić w ten wieczór?” Dec odwrócił się. Przygarbiony mężczyzna z rozjaśnioną uśmiechem twarzą patrzył mu prosto w oczy. „Opuścili cię przyjaciele albo ty ich, więc szukaj nowych; zawiodło cię serce, więc wesprzyj się rozumem; oszukał cię los, więc przestań weń wierzyć”. Ujął Deca pod ramię. „Przede wszystkim należy zaspokoić głód i pragnienie” - powiedział to prawie szeptem, lekko ciągnąc go za sobą. Dec zapewnił, że zjadł i wypił dziś dość. Obcy zmartwił się. Przystanął. Poderwał głowę. „Czy ja o takim głodzie mówię? W Wenecji zaspokaja się jeden głód, głód sztuki”. Dec wyznał, że do odbioru sztuki ma bardzo kiepskie przygotowanie i nie potrafi jej kontemplować, szczególnie w nocy. Rozbawił go. „A czy o tej porze można normalnemu człowiekowi proponować coś podobnego? Gdy mówiłem o sztuce, miałem na myśli tę żywą, cielesną, w której pulsuje krew, gra światło, dźwięczy muzyka”. A Dec: „Nie cierpię burdeli”. Mężczyzna ścisnął jego ramię. „Więc po co,

niech mi pan powie, po co pan żyje? Czego pan szuka na lagunie, gdzie wszystko wokół dyszy życiem?" Puścił Deca, pchnął go lekko w mrok, a Dec cofając się, widział obie jego ręce wyciągnięte przed siebie, jeszcze odpychające, powtarzające tę czynność wielokrotnie. Wąskimi uliczkami, mostami i mosteczkami uciekał na drugi koniec miasta. Mijane puste stragany pachniały owocami i rybą. Kręciły się koło nich koty. W kanałach pluskały szczury, z okien opróżniano zawartości cuchnących wiader.

Gdybym mógł - pomyślał Dec wznosząc kolejny toast - znaleźć się w Wenecji raz jeszcze, ale nie sam, z Lili, choćby jeden dzień, godzinę, wiedziałbym, po co żyję.



Do drzwi chiefa Deca zastukał Scarron. Nie był zaproszony, ale nie mógł zasnąć w izolatce, więc wprasza się do towarzystwa.

- Nie proponowałem - usprawiedliwia się Dec - bo sądziłem, że tę noc po zatonięciu „Stirlinga” będzie pan wolał spędzić samotnie.

Scarron błyskawicznie opróżnił podaną szklankę, westchnął głośno.

- Gdy będziemy mogli zejść na ląd, zaproszę panów na stypę po „Stirlingu”, ale dziś lepiej o nim nie mówmy, pijmy za te statki, które pływają, za nas.

Radiooficer Knox długo szukał po kieszeniach papierosów, potem wyłuskiwał z paczki, zapalał powoli, unikając wzroku Scarrona, nie spełniając toastu.

- Pańscy ludzie - odezwał się po chwili - są już na lądzie. Chcą wrócić do kraju, ale agent ubezpieczeniowy stanowczo domaga się dokładnych zeznań, a to, jak twierdzi, zajmie kilka dni.

- Dziwne obyczaje - zauważył Dec. - Chyba w tej sprawie i kapitan powinien mieć coś do powiedzenia.

Zapadło głębokie milczenie. Knox mocno zaciągał się dymem papierosa. Dec bębnił po stole palcami, Duun bawił się szklanką, Martin łamał wykałaczki.

- Chamy! - warknął Scarron nie wiadomo pod którym adresem. Odczuł



potrzebę ruchu jak podczas katatonicznego podniecenia, wstał, przeszedł się po kabynie chiefa. - Chamy! - powtórzył raz jeszcze i sięgnął po szklankę.

Uspokoił się nieco. Siadł w fotelu, poprosił Knoxa o papierosa. Radiooficer bez pośpiechu podsunął paczkę papierosów, zapalniczkę, całe jego zachowanie wyrażało niechęć do Scarrona.

Martin połamał kolejną wykałaczkę, rzucił drzazgi do popielniczki.

- Czas na mnie - powiedział wstając. - Muszę zajrzeć do siłowni.

- A rozejrzyj się tam dobrze - radził mu Knox - czy ktoś nie przygotowuje niespodzianki dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

- A jak myślisz, po co tam idę? - mruknął Martin. - Odkąd mamy na pokładzie ludzi z „Kalipso”, nie przespałem spokojnie żadnej nocy.

- Na szczęście został tylko jeden, bosman - zauważył Dec.

Scarron ponownie zerwał się, zgasił w popielniczce papierosa, zaczął chodzić po kabynie.

- A więc i pan, chieffie - zwrócił się do Deca - przychyła się do opinii, że zatonięcia statków na redzie mają swych sprawców?

Martin wzruszył ramionami i opuścił kabine.

- A tak - zgodził się chieff. - Tak myślę.

Scarron wstał.

- A o „Stirlingu” co pan myśli?

Chieff poruszył niespokojnie wąsem.

- „Stirling”? - powtórzył. - To był dobry statek, prawda, kapitanie? Aż dziwne, że tak szybko utonął.

Scarron stracił na pewno siebie, przygasł. Chieff wlał do jego szklanki whisky.

Drugi oficer, Duun, nie pozwolił, by chieff nalał whisky także do jego szklanki.

- Pójdę już - powiedział. - Teraz na mostku oczy trzeba mieć szeroko otwarte i umysł trzeźwy. Trap podniesiony, ale licho i bez niego da sobie radę i wejdzie na statek.

Odstawił szklankę, którą bawił się, i wyszedł.

- Zdaje się, że zepsułem panu wieczór - powiedział Scarron. - Dlaczego mnie unikają?

- Jest pan przewrażliwiony - uspokajał go chief. - Ludzie mają swoje obowiązki i muszą o nich pamiętać.

- Pamiętają też o Bestrym - rzekł Scarron. - Na pewno głęboko przeżyli jego śmierć.

Prychnięcie Knoxa zdumiało Scarrona, spojrzął pytająco na radiooficera.

- Tego człowieka - wyjaśnił Dec - nikt nie lubił. Pomyślał chwilę, poprawił się. - Prawie nikt.

- Widziałem go kilka razy - przypomniał sobie Scarron. - Sprawiał przyjemne wrażenie. To był człowiek inteligentny, odcytany. Na pewno musiał podobać się kobietom.

- Co do tego nic mam wątpliwości - przyznał z sarkazmem Dec.

Knox zachichotał.

- Szeptano, że i żonę kapitana zauroczył.

Dec skarcił go wzrokiem, radiooficer natychmiast umilkł.

- Bestry'ego Cowpera spotkało to, na co zasłużył - stwierdził chief. - I nikt po nim nie płakał. To był łobuz! Dawno powinien wisieć na szubienicy.

- A cóż takiego zrobił? - spytał Scarron.

Chief powtórzył, co słyszał o byłym oficerze z „Kalipso”. Na swym sumieniu grzechów miał więcej niż włosów na głowie, w różne niegodziwe sprawy był wmieszany, podejrzewa się, że z piratami miał kontakty, być może z Białym Diabłem także. Kilka tygodni temu w mieście upił się, zrobił w restauracji burdę, ścigany uciekł na peryferie, resztę nocy spędził w towarzystwie Murzynki Pearlie. Kiedy o świcie do drzwi zastukał jej ojciec, Cowper podpalił kleć i uciekł z dziewczyną na statek. Nim go stary Murzyn wytropił i dopłynął z przedstawicielami prawa, ślad po dziewczynie zginął. Jesteś mordercą! - wołał Murzyn, a Cowper cynicznie żądał, by mu to udowodniono. Jak czarny udowodni białemu popełnienie zbrodni? A nie ulega wątpliwości, że na rękach Cowpera była krew.

- Kapitan Achrem nie mówił mi o tym - powiedział Scarron, którego opowiadanie o Bestrym Cowperze poruszyło do głębi.

- Na tym statku niechętnie się o nim mówiło - stwierdził chief. - Były powody.

- Achrem nie chciał się go pozbyć?

- Może i chciał, ale nie mógł - wtrącił się Knox.



Lilli odłożyła stary numer „Washington Post”, sięgnęła po „Newsweek” z kolumną Stewarta Alsopa, nieżyjącego już dziennikarza, pokonanego przez białaczkę. Był dla niej wzorem, wozila ze sobą jego artykuły, uczyła się na nich dziennikarskiego rzemiosła. Ślizgała się wzrokiem po czarnych liniijkach druku, lecz nic z nich nie rozumiała, jej myśli uciekały daleko od pisma, od statku.

Dotąd uważała, że ma dużą odporność psychiczną, ale ostatnie wydarzenia na „Obanie” podważyły to przekonanie. Czowała się psychicznie wyczerpana, niezdolna do logicznego myślenia, do koncentracji uwagi na lekturze czy pisaniu. Najchętniej uciekłyby ze statku na ląd albo do kraju.

- Nie czytasz? - spytał Achrem, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Obserwuję cię od dłuższego czasu. Co cię gnębi?

Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie, szczególnie wówczas, gdy ma się świadomość, że nie można wyznać całej prawdy. Achrem jest wyrozumiały i tolerancyjny. I naiwny. Właśnie dlatego tak trudno wyznać mu całą prawdę o sobie, równocześnie nie płonąc ze wstydu przed tym krystalicznie czystym człowiekiem.

Odłożyła gazetę

- Kocham cię - powiedziała tuląc twarz do jego ręki.

- Wiem o tym - uśmiechnął się. - Ale możesz mnie o swych uczuciach zapewniać codziennie.

Zamknęła oczy. Była teraz dziewczynką szukającą opiekuńczego ramienia, dziewczynką trochę rozkapryszoną, przeświadczoną<sup>^</sup> że najbliższe otoczenie gotowe jest jej wybaczyć największe głupstwa.

- Tęsknisz już za lądem, za przyjaciółmi – zgadywał jej myśli.

- Nie - skłamała. - Dobrze mi z tobą. Myślę, że podobnie musi się czuć kobieta towarzysząca astronautce w podróży do gwiazd.

- Może - zgodził się. - Tylko że na pokładzie kosmicznym mniej jest sensacji, rejs przebiega spokojniej niż na moim.

- Nie wiń za to siebie. W końcu jednak jest niewielka różnica między statkami.

- Sądzę, że między dowódcami także.

Przytuliła się ustami do jego dłoni.

- Przede wszystkim ta, że tobie towarzyszy bardzo, ale to bardzo kochająca cię kobieta.

Odsunął się od niej delikatnie, podszedł do biurka, wyciągnął szufladę. Szelest papieru zmusił Lili do otwarcia oczu.

- Wybacz - powiedział - zajrzałem tu kiedyś. Byłem ciekaw, co piszesz. Spodziewałem się znaleźć rozprawkę na temat „strażników zmarłych”. Tymczasem natrafiłem na to. Przeczytałem. Powiedz, jak powstają takie rzeczy? Jaki mają związek z rzeczywistością?

Był to rękopis fragmentu jednoaktówki, jaką zamierzała napisać, pt. „Wspólny rejs”. W utworze miały występować tylko dwie postaci - On i Ona, nie najmłodszy, ale jeszcze w pełni sił, za to bardzo sobą zmęczony.

ON: Wyciągnij palec z nosa, kiedy rozmawiasz ze mną.

ONA: Gdybyś naprawdę był kulturalny, udałbyś, że nie widzisz, jak czyszczę nos.

ON: Nie upieram się przy tym, byś uważała mnie za kulturalnego, więc widzę, co robisz i stanowczo się domagam, byś tego zaprzestała.

ONA: Zwyczajny chamuś...

ON: Flirtowałaś dziś z drugim mechanikiem.

ONA: A miałam z trzecim oficerem czy pierwszym? ON: Z żadnym.

ONA: Przemawia przez ciebie zazdrośnik i despota. ON: Jesteś moją żoną.

ONA: Nie bądź staroświeckim safandulą.

ON: Zabrałem cię w ten cholerny rejs nie po to, bym w następnym dyszał, że mam żonę puszczalską.

ONA: Jest takie powiedzenie: słyszy się to, co się chce dyszeć.

ON: Rozumiem, że się nudzisz. Przestrzegałem cię przed monotonią.

ONA: Wcale się nie nudzę! Tylko ty tak myślisz.

ON: Nie nudzisz się, bo flirtujesz. A tego tolerować nie mogę.

ONA: Przecież ty mnie nie kochasz.

ON: Jestem twoim mężem, a ty moją żoną.

ONA: Chwały mi to nie przynosi. Ani przyjemności.

ON: Wobec prawa, w opinii społecznej...

ONA: Jezus, Maria., skończ wreszcie z tą drętwą mową! Morska choroba nie podrywa tak mojego żołądka do gardła jak twoje gadanie. Idź, spij się, a mnie zostaw samą.

ON: Wiesz, że nie piję.

ONA: A jak bym mogła o tym zapomnieć! Kiedy inni piją, bawią się, ty, ty znęcasz się nade mną. Sadysta! Upijasz się widokiem zmalretowanej, słabej istoty!

ON: Kto tu jest słaby, kto tu kogo maltretuje? O, popełniłem błąd, niewybaczalny, kiedy zgodziłem się zabrać cię w rejs. Weź mnie, prosiłaś, przynajmniej tyle zrób dla mnie, błagałaś, zobaczę świat, nacieszę oczy, wzdychałaś.

ONA: Nie żałuję, że popłynęłam. Świat jest piękny.

ON: O, dużo na ten temat potrafisz powiedzieć. Dwa porty, trzydzieści sklepów - to wszystko, co widziałaś.

ONA: Mądrej głowie dość dwa słowa.

ON: Godna podziwu zarozumiałość.

ONA: Dla ciebie jestem głupią, zarozumiałą gęsią domową, którą mąż raczył dołączyć do swych podróźnych bagaży. Ale dla innych, dla innych jestem tą, która potrafiłaby jeszcze dać niejedną godzinę rozkoszy, szczęścia.

ON: Masz pięćdziesiąt dwa lata, sadła na tobie więcej niż w niejednym sklepie rzeźniczym Europy Północnej. Masz co najmniej dziesięć chorób, z których każda z osobna każe d pamiętać o dokonaniu ostatniego rachunku sumienia. Wiecznie się pocisz.

ONA: (nuci) Zawiążę se wstążeczkę i wyjdę se nad rzeczkę, gdzie mój najmilszy czeka... (rzeczowo) Gdybyś mnie nie mamił obietnicami, nigdy bym twoją nie została. I moje życie byłoby inne.

ON: Dopiero miałybyś powody do rozpaczy!

ONA: Byli fatyganci lepsi od debie. Ulitowałam się nad tobą i mam teraz

za swoje.

ON: Niby co masz?

ONA: Niewdzięczność.

ON: Są na świecie uboższe od ciebie, nawet uboższe o niewdzięczność.

ONA: Mogłam być kimś.

ON: Kim?

ONA: Miałam talent.

ON: Pierwszy raz o nim słyszę.

ONA: Przy tobie roztyłam się!

ON: Ja d wkładałem do buzi tłuste kąski?

ONA: Przy tobie tyle mego, co w gębie!

ON: A dzięki tobie chciało mi się żyć, pracować, byłem szczęśliwy!

ONA: Brakowało d czegoś?

ON: Odrobiny ludzkości w tobie!

ONA: Całe życie włączyłeś się po świecie, bąki zbijałeś i jeszcze narzekasz?

ON: A co ja z tego życia mam? Podsumuj. Nic.

ONA: Nic? Przynajmniej napatrzyłeś się na to, czego inni nie oglądali.

ON: I co z tego? Prawdziwego domu nigdy nie miałem.

ONA: Za wiele naraz byś chciał.

ON: Na litość boską wyciągnij ten palec z nosa, bo... Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że potrafisz się tak obrzydliwie zachowywać.

ONA: Po prostu zachowuję się naturalnie.

ON: To straszne!

ONA: Dla ciebie wszystko jest straszne: gdy rzygam, gdy czyszczę nos...

ON: Mogłabyś się delikatniej wyrażać.

ONA: Mogłabym, ale nie chcę.

ON: Dlaczego nie chcesz zrobić niczego, co mogłoby mi sprawić przyjemność?

ONA: Widocznie nie zasługujesz na to.

ON: Do diabła, przez tyle lat, z tylu rejsów powracałem do ciebie zawsze z jakąś nadzieją, że nasze życie ułoży się, że będzie nam ze sobą dobrze. Jestem już prawie starcem, niedługo nie pozostanie mi już nic innego, jak

tylko być przy tobie, i dopiero teraz uświadamiam sobie, że przegrałem życie, że ani ta część, jaka jest poza mną nie miała sensu, ani ta, jaka jest jeszcze przede mną, nie będzie mieć sensu!

ONA: Filozofujesz! Lepiej sięgnij poza siebie, po butelkę whisky, wypijemy. Co nam innego pozostało? Jakoś ten wspólny rejs trzeba przeżyć

Achrem odłożył rękopis na biurko, spojrzał pytająco na żonę, czekał na wyjaśnienie.

Lilii roześmiała się.

- Niewinna groteska, mój drogi - mówiła, starając się, by jej słowa przekonały męża, że nie ma ona nic wspólnego z jej uczuciami. - Zabawa w literaturę.

- Boisz się starości?

- A kto się jej nie boi?

Podszedł do żony.

- U - powiedział ciepło. - Dlaczego tak bardzo nie lubisz siebie, dlaczego z taką niechęcią piszesz o sobie?

- Ja, o sobie? - udała zdumienie.

- A o kim pisałaś?

- O nikim, to są postacie fikcyjne.

- Lecz ich pierwowzorami byliśmy my! - upierał się Achrem. - Słyszę w tym dialogu ciebie i siebie. - Zastanowił się chwilę. - Ale dla mnie masz trochę uczucia, serca, za to dla siebie jesteś okrutną, bezwzględną. I to mnie przeraża. Dlaczego tak źle oceniasz siebie, zastanawiam się. - Ujął jej brodę w rękę, zajrzał w oczy. - Li, co przede mną ukrywasz?

Poczuł na dłoni jej ciepłe łyzy.

- Lilii - prosił - nie płacz. I jeśli nie chcesz, nie mów nic.

Milczała.



Tuż przed północą Ramsdell przeświadczony, że o tej porze już wszyscy

powinni spać, zszedł na dolny korytarz prowadzący do magazynu z bielizną. Zamierzał odwiedzić Maribou, porozmawiać z nim, przekonać go, że musi odpowiedzieć na kilka pytań. Jednak kiedy mijał drzwi kabiny kucharza, te nieoczekiwanie otwały się.

- Epifanio, nie śpisz jeszcze? - Ramsdell z trudem największym zdobył się na zachowanie spokoju.

Esmerindo Epifanio chwycił rękę Ramsdella w przegubie i wciągnął go do kabiny. W powietrzu unosił się zapach środka owadobójczego, którym na „Obanie” tępiono karaluchy, i odór alkoholowej nalewki, jaką sobie Nikaraguańczyk przyrządzał z resztek tequili, shribu, whisky i rumu.

- Co się stało? - naprawdę zaniepokoił się Ramsdell, gdy został gwałtownie wepchnięty w fotel. - Zachowujesz się, jakbyś chciał mnie przestraszyć.

Epifanio siadł naprzeciw Ramsdella, nie wyglądał na człowieka skorego do żartów, wręcz robił wrażenie kogoś, kto wszystko traktuje bardzo serio. Teraz swoją rolę również. Ale jaka to jest rola - zastanawiał się Ramsdell - o co temu człowiekowi chodzi?

Gospodarz kabiny nie od razu zdradził się ze swymi zamiarami.

- Dokąd to steward po nocy chodzi? - spytał.

Ramsdell spojrzał na niego z pogardą.

- Czekales na mnie?

- Spodziewalem się, że przyjdiesz - przyznał kucharz.

- A to dlaczego?

- Bo miałes interes.

- Jaki?

- Ja ci mam mówić?

Ramsdell wzruszył ramionami.

- Do rzeczy, czego chcesz ode mnie?

Epifanio cmoknął tłustymi ustami.

- Biały Diabeł cię pozdrawia.

Steward uśmiechnął się drwiąco.

- Kilka godzin temu nie słyszales o nim, a teraz wybrał cię za pośrednika.

- W życiu tak bywa.



- Jeżeli tak, to podziękuj Białemu Diabłu za pozdrowienia.  
- I nic więcej nie każesz mu powiedzieć?  
- A on czeka na coś więcej ode mnie?  
- Zdaje się, że tak.  
- A na cóż to?  
- Interesujesz się nim.  
- To chyba naturalne.  
- Chciałby wiedzieć, dlaczego się nim interesujesz?  
- Różnie o nim mówią.  
- Powiedz, że źle o nim mówią.  
- To prawda, źle o nim mówią.  
- I dlatego cię zainteresował?  
- Jest na redzie kilka zagadek do wyjaśnienia.  
- Myślisz, że dopomógłby ci?  
- Gdybym wiedział, kim jest, miałbym klucz do kilku tajemniczych wydarzeń.

- Ramsdell - wycedził kucharz - twoje kłopoty Białego Diabła nie ciekawią, on chce wiedzieć, co się stało z pieniędzmi Bestry'ego Cowpera.

- Z pieniędzmi... - powtórzył steward. - O jakich mówisz pieniądzach? Dlaczego mnie o nie pytasz?

- Ty przeszukiwałaś jego kabinę.
- Wcześniej był tam ktoś przede mną.
- Ale pieniędzy nie znalazł.
- A skąd masz pewność, że powinny być?
- Biały Diabeł wszystko wie.

Ramsdell poczuł się pewniejszy siebie, podejrzewał kucharza o bluff, bo skąd, u licha, ten Metys mógł mieć kontakt z Białym Diabłem? W jaki sposób?

- Nie wierzę w twego Białego Diabła - powiedział.
- Sądzisz, że mnie przerazisz swymi znajomościami i rzucę ci na odczepnego kilkadziesiąt dolarów? Nie przestraszyłeś mnie. - Prychnął wzgardliwie. - Jesteś naiwny. Epifanio, i sądzisz, że inni też tacy są.
- Wierz, w co chcesz - rzekł kucharz. - Twoja sprawa. Biały Diabeł nie

żartuje. Nie dostanie pieniędzy, zajmie się tobą.

- Zanim pojawi się na „Obanie”, zdążą go złapać ci, którzy już od kilku miesięcy go tropią - odparł Ramsdell.

Kucharz smutno potrząsnął głową.

- On tu już jest, Ramsdell i nie wygląda na to, by chciał ci specjalnie dawać wiele czasu do namysłu.

Uczucie niepokoju wstrząsnęło ciałem stewarda.

- Biały Diabeł na „Obanie”? - spytał głucho. Szybko przebiegł listę załogi, starając się znaleźć tego, kogo mógłby utożsamić z Białym Diabłem. Nie, nikt z załogi nie pasował do miana radowego przestępcy. - Nonsens!

- Nagle przypomniał sobie o Maribou i postanowił wykorzystać jego obecność na statku do skonfrontowania bluffu kucharza. - Mam na statku Murzyna, który zna Białego Diabła. Jeśli jest na „Obanie”, wskaże mi go.

Ciemne oczy kucharza spojrzały na stewarda z politowaniem.

- Nie doceniasz Białego Diabła. Twój Murzyn już nic nie powie.

Ramsdell zerwał się z fotela, ścisnął ramię kucharza.

- Łżesz! Nikt o nim nie wiedział. - Nagle zaczął podejrzewać kucharza. - To ty zamordowałeś Maribou! Wszedłeś do magazynu z bielizną, znalazłeś go przypadkowo i zamordowałeś, bo chciałeś uchodzić za kogoś, kim nie jesteś!

Kucharz zaprotestował cicho.

- Nie, Ramsdell, ja tam w ogóle nie byłem, ale wiem, że Maribou już nic nie powie. Przysięgam, że moje ręce są czyste.

- Chodźmy tam - zaproponował steward.

- Ja nie pójdę, wolę nie widzieć - odparł kucharz.

- Człowieku, jeśli mówisz prawdę, to straszne!

- Dlaczego miałbym kłamać?

- Nie wiem, ale trudno mi w to wierzyć.

- Więc idź, przekonaj się na własne oczy.

Ramsdell wybiegł na korytarz, otworzył drzwi do magazynu, zapalił światło. Epifanio nie kłamał, Maribou leżał martwy na brudnych prześcieradłach a obok niego zwykły kuchenny nóż we krwi.



Dobroć męża wzruszyła Lili. Po wypłakaniu się, otarciu łez postanowiła wyznać mu całą prawdę o sobie i związku z Bestrym. Już otwierała usta, by mówić, gdy Achrem pocałował ją i poprosił, by nie mówiła nic, czego później mogłaby żałować. Chciała go zapewnić, że pragnie z nim być szczerą. Nie pozwolił. Raz jeszcze pocałował i powiedział, że musi wyjść na mostek.

Została sama w salonie, z wielkim uczuciem ulgi płynącym z postanowienia dzielenia się z mężem całą prawdą o sobie. Apatia ustąpiła podnieceniu, mimo późnej godziny zabrała się za sprzątanie. Kręciła się po salonie pełna życia, radości. Nie miała wątpliwości, że mąż zrozumie jej postępowanie, uwierzy, że nie mogła inaczej postąpić, i wybaczy. I odtąd życie ich będzie inne, lepsze, bo już bez tajemnic, bez lęku o wykrycie prawdy, która mogłaby ją kompromitować.

Jej myśli przerwało stukanie do drzwi.

Ledwo spojrzała na stewarda, do razu zorientowała się, że zaszło coś nadzwyczajnego.

- Nie ma kapitana? - próbował zgadnąć.

- Wyszedł na mostek - powiedziała.

Chciał odejść.

- Stało się coś? - spytała ze złymi przeczuciami.

Zwlekał z odpowiedzią, więc nalegała, by powiedział.

- Maribou - został zamordowany - wyznał.

- Maribou? - podniosła w zdumieniu brwi. - Gdzie?

- W magazynie bielizny.

- Jak tam się znalazł?

Steward nie chciał na to pytanie odpowiedzieć.

- To był jedyny człowiek, który mógł pomóc w znalezieniu mordercy - powiedział Ramsdell. - Niestety, już niczego nie powie.

Uczucie radości opuściło Lili, znów owładnęło nią przygnębienie i zwątpienie. Kolejne morderstwo na statku. Czy ma jakiś związek ze „strażnikami zmarłych”? Kto zabił: ten kto chciał zdobyć „strażnika

zmarłych" czy ten, kto nie był pewien swego bezpieczeństwa i chciał ubiec mordercę?

Poczuła się zagrożona. Zaczęła się bać, niespokojnie oczekiwała powrotu męża. Nie ufała Ramsdellowi. Nagle odnajdowała w jego zachowaniu cechy, które obudziły w niej podejrzliwość. Ramsdell zbyt gorliwie zajął się śledztwem. Tropił przestępcę, lecz poza kolejną ofiarą niczego więcej nie znalazł.

- Ramsdell, pytał się pan mnie niedawno, czy słyszałam o Białym Diabie - przypomniała mu. - Proszę powiedzieć, czy dziś potrafiłby pan bardziej sprecyzować swoje pytanie?

Steward udał zakłopotanego.

- Nie wiem, dlaczego, ale mam takie przeczucie, że Białego Diabła należy szukać jeśli nie na naszym statku, to gdzieś w pobliżu.

Lilii zadrżała, jej piwne oczy zwilgotniały.

- Przed chwilą dostałem od niego ostrzeżenie. Biały Diabeł domaga się pieniędzy, jakie miał rzekomo mieć Bestry Cowper.

- Ale nie miał.

I nagle zacisnęła wargi, uświadamiając sobie, że powiedziała więcej, niż powinna.

- Skąd pani wie? - spytał spokojnie, nieco przytłumionym głosem.

Lilii ledwo udało się ukryć zakłopotanie.

- Zwierzył mi się ze swych kłopotów finansowych - kłamała. - Nawet był gotów odsprzedać „strażnika zmarłych”.

- Tak - powiedział pozornie obojętnie steward.

- W karty nie grał, a miał dług.

- Skąd pan o tym wie?

- Piętnastego miał oddać pieniądze. - Bluffował steward, przypominając sobie notatkę w kalendarzu trzeciego oficera. - Większą sumę.

- Tak, coś niecoś wspominał o tym - zgodziła się.

- Komu był winien?

- Niestety, nie powiedział.

- Może ktoś go szantażował?

- Nie wyglądał na człowieka, który mógłby się kogoś bać.

- No i przeliczył się - stwierdził nie bez satysfakcji steward. - Nie chciałbym popełnić jego błędu i dlatego wolę ostrzeżenie Białego Diabła wziąć poważnie do serca.

- Co pan zamierza zrobić?

- Przede wszystkim mieć się na baczności, a poza tym proponuję Białemu Diabłu trochę pieniędzy.

- Jeśli to, co o nim się mówi, jest prawdziwe, to wątpię, by na tym poprzestał.

- Słyszała pani o nim coś szczególnego?

- Nie, ale mogę przypuszczać, że człowieka tego pokroju nie zadowoli kilkanaście dolarów.

Do salonu wrócił kapitan Achrem, steward poinformował go o śmierci Maribou. Achrem zareagował podobnie jak Lili: zdziwił się, w jaki sposób Maribou najpierw został uwolniony z magazynku bosmana, a następnie zamordowany w magazynie bielizny. Przecież gdyby ktoś chciał go zabić, - zrobiłby to od razu w magazynku bosmana, a nie narażał się, uprowadzając Murzyna!

- W tym wszystkim brakuje logiki - stwierdził kapitan - i pan, Ramsdell, jako były nauczyciel logiki powinien na to zwrócić uwagę.

Ramsdell zgodził się z opinią kapitana, daleki był jednak od tego, by wyjaśnić mu te pozornie sprzeczne ze sobą fakty.

- Czy pan, kapitanie, chce obejrzeć zwłoki Maribou? - spytał.

- Po co? - zachnął się Achrem.

- Będzie pan musiał wydać akt zgonu.

- Wolę sobie zaoszczędzić przed snem tego widoku. Może obejrzę jutro.

- Każę zwłoki wynieść na pokład.

- Boję się, że i jego nie zechcą wziąć na ląd i znów będziemy musieli wyprawić pogrzeb.

Gdy Ramsdell wyszedł z salonu, kapitan sięgnął po butelkę whisky.

- Napijesz się? - zaproponował żonie.

- Chętnie.

Postawił na stole dwie szklanki, wlał do nich whisky, wyciągnął z lodówki naczynie z lodem.

- Coraz częściej myślę o tym, by cię odesłać do Europy - powiedział po chwili milczenia, patrząc na żonę czule, serdecznie, z troską. - Zaczyna się tu źle dziać, bardzo źle.

- Sądysz, że mogłabym spokojnie odjechać, wiedząc, że tobie grozi niebezpieczeństwo?

Pokiwał smutno głową.

- Kiedy wchodziłem na mostek, niechcący usłyszałem fragment rozmowy. Boję się o ciebie. Li. Marynarze są zabobonni. Oni mówią, że ty, kobieta, przynosisz statkowi pecha. Ty i twoje rzeźby. - Umilkł na chwilę. - Będzie mi bardzo trudno przekonać ich, że się mylą.

Chciała z nim porozmawiać. Nie pozwolił mówić. Poprosił, by poszła spać, on wróci na mostek.



Na stole w kabinie chiefa Deca stało już kilka pustych butelek, radiooficer Knox, pijany, przysnął w fotelu, a Scarron z gospodarzem wciąż jeszcze pili i w coraz smutniejsze osnuwali się wspomnienia. Byli w swych niepowodzeniach życiowych podobni do siebie. W pewnej chwili Dec tak się wzruszył samotnością Scarrona, a Scarron Deca, że z wilgotnymi oczyma wpadli sobie w ramiona i całując się, zaczęli mówić do siebie po imieniu.

Dec otworzył kolejną butelkę whisky; wypili za przyjaźń, za męską przyjaźń na morzu na dobre i złe.

- Podejrzewałem cię - wybełkotał Dec.

- O co? - spytał niewyraźnie Scarron.

- Że masz coś na sumieniu.

- Niby co? - z trudem wyartykułował Scarron.

- Jakieś świństwo.

Scarron pocałował Deca w czoło.

A czy Dec zna kogoś, kto miałby czyste sumienie? Bo on, Scarron, nie zna takiego. Idzie spać i mówi, jak go mamusia nauczyła, paciorek. Panie Boże dziękuję ci, że jestem tylko małym łajdakiem, gdy mogłem być wielkim, że dziś zgrzeszyłem tylko tyle, gdy mogłem więcej. Daj mi więc.

Panie Boże, sen sprawiedliwego, bo choć sprawiedliwym nie byłem, mogłem być jeszcze mniej sprawiedliwym.

Dec zachwiał się, z trudem odnalazł równowagę, wsparł się obu łokciami o blat stołu.

- Kocham Li - wybełkotał bez związku. - Bardzo. Powiedz, co zrobić, żeby ona zostawiła Achrema? Bez niej nie ma dla mnie życia.

Kompan Deca wybałuszył oczy, po omacku szukał dłonią szklanki z whisky, źle trafił, rozlał, ale wreszcie ujął ją, zbliżył do ust, wychylił.

- Li? - jęknął. - Dlaczego ją? - spytał z bolesnym grymasem. - Kilka mil stąd tyle pięknych dziewcząt. Miedź i czerń. A Li wybij sobie z głowy - radził po przyjacielsku. - Nie jest godna ciebie. Li to...

Scarron nie dokończył obelgi, chief chlusnął mu w twarz whisky.

- Odszczekaj, bo zabiję! - wrzeszczał Dec.

Scarron otarł twarz.

- Głupiś, tyle ci powiem.

Dec załkał.

- Dlaczego, dlaczego i ty przeciw mnie? - żalił się. - Kocham ją... - wyznał bezradny wobec swych uczuć i potrzeby mówienia o nich.

Łzy Deca wzruszyły Scarrona, był gotów porozumieć się na temat opinii Lili.

- Może ona aż nie taka., ale na twoją miłość nie zasługuje.

Z wielkim trudem, walcząc z kołowacującym językiem, opowiedział o Lili, która dostarczała mu narkotyki i dopiero dziś po raz pierwszy nie przywiodą ich z miasta. Deca nie zdziwiło to, że Scarron jest narkomanem, był tylko zaskoczony rolą Lili, jaką odgrywała w życiu kapitana „Stirlinga”. Nie mieściło mu się w głowie, że handlowała narkotykami. Po co? Potrzebowała pieniędzy? Ależ żona kapitana nie mogła narzekać na ich brak! Chyba, że miała specjalne wydatki, o których Achrem nie powinien wiedzieć.

Dec zaczął szarpać wąsa. Spytał, jak doszło do tego, że Lili kupowała dla niego narkotyki? On jej zaproponował, czy ona jemu? Kiedy? Scarrona zmęczyła ta rozmowa, poczuł się senny, nie chciał już odpowiadać na kolejne pytania. Dec potrząsnął jego ramieniem, obudził, lecz nie, na wiele

to się zdało, język Scarrona spuchł i zdrętwiał, ciemna czerwień wyzierała zza nieprzytomnie rozwartych ust.

Chief mruknął coś niewyraźnie, chwycił szklankę, opróżnił jej zawartość.

- A niech to... - mamrotał, czując, jak mu serce wali. - A niech to... - powtórzył, tocząc nieprzytomnymi oczyma po kabinie.

Wypił jeszcze jedną szklankę whisky. Serce oszalało. Z trudem podniósł się z fotela, ruszył w stronę drzwi. Śpiący Knox poruszył się, spytał, co się stało. Dec uspokoił go gestem ręki, przynajmniej tak mu się zdawało, i szedł dalej w kierunku drzwi.

Knox przetarł oczy, spojrzął za wychodzącym chiefem, ziewnął głośno. Z niechęcią popatrzył na śpiącego Scarrona, potrząsnął jego ramieniem.

- Idź, kapitanie, do swej izolatki - poradził mu. - Gospodarz ma już nas na dziś dosyć.

Scarron niechętnie podniósł się z fotela, z jeszcze większą niechęcią spojrzął na radiooficera.



Noc po burzy niewiele różniła się od tych przed burzą; było parno, płuca oddychały z trudem, serce nie czuło żadnej ulgi, pracowało z nie mniejszym wysiłkiem niż w ciągu dnia. Może to objawy starzenia się - pomyślał Achrem, spoglądając w niebo, patrząc na blade przesłania Kosmosu. Natura jest łaskawa, nim zada ostateczny cios, przygotowuje, znieczuli.

Czuł się nie tylko stary, ale i zmęczony, oszukany. Kończyła się piękna, wzruszająca miłość Li, pozostawało po niej tylko wspomnienie i słowa, słowa, słowa. Nigdy nie był tak zarozumiały, by wierzyć, że piękna kobieta będzie go kochać i zostanie mu wierną aż do... To musiało nastąpić, wcześniej czy później, ale tak piękna kobieta nie mogła należeć tylko do jednego mężczyzny.

Od dłuższego już czasu podejrzewał Lili o to, że coś przed nim ukrywa. Co? A cóż kobieta, żona, może ukrywać przed mężem? Starał się nie zdradzać ze swymi podejrzeniami, przeciwnie, robił wszystko, by Li sądziła, że ufa jej, wierzy słowom zapewniającym o miłości. Była to z jego strony



gra, która dawała dużo satysfakcji, chociażby dlatego że mimo nieufności, lęku przed nadciągającym końcem idylli, przedłużał miodowe miesiące. Była jeszcze jedna przyczyna niezdecydowania. Achrem nie wierzył w istnienie kobiet o idealnych charakterach, w owe Penelopy, wiernie czekające na powrót mężów. Kto raz się sparzył, na zimne dmucha. Brał życie takim, jakim było, i nie starał się niczego w nim idealizować, natomiast zabiegał, by coś z niego mieć. Ot, choćby na jakiś czas Li, piękną i czułą, mądrą i rozkoszną. Przynależał sobie, że jeśli Li sama nie podejmie ostatecznych kroków prowadzących do zerwania, on - choćby miał przeciw niej dowody - nigdy tego nie uczyni.

Zachowanie żony w ciągu ostatnich dni niepokoiło go, przekonywało o tym, że Li nie wytrzyma napięcia nerwów, zdradzi się nieostrożnym zachowaniem albo po prostu wyzna szczerze, co ma sobie do zarzucenia, a wówczas trudno będzie Achremowi pozostawać biernym. Zresztą i jemu coraz trudniej jest panować nad sobą, udawać, że nic nie wie, niczego się nie domyśla. Na przykład czytanie przed chwilą fragmentu jednoaktówki. Dlaczego sięgnął po ten rękopis? Dlaczego zmuszał ją do szukania odpowiedzi na pytanie: za co Li siebie tak bardzo nie lubi?

Postępował wobec niej niekonsekwentnie. Dlaczego?... Miłość? Czy po prostu chęć zatrzymania przy sobie Li bez względu na to, jaka jest? Przecież - pocieszał się - nie może w niej być aż tyle zła, by zasługiwała tylko na wzgardę!

Przeszedł na pokład szalupowy, stanął przy relingu, mokrym, ociekającym kroplami deszczu. Statki kotwiczące w sąsiedztwie mrugały zapalonymi lampami, kładły się niespokojnymi refleksami na wodzie.

Wychylić się za reling... Wypadek, pomyślano by. Śmierć rozwiązuje wszystko, ostatecznie. W godzinach największego zwątpienia jest jedyną nadzieją, w najokrutniejszym cierpieniu - ulgą.

Poczuł chłód metalu ściskanego w rękach.

Czy jest sens przyspieszania tego, co nieuniknione, odbierać zmysłom prawo do przeżywania? Nie można topić pełnosprawnego statku, on musi pływać! Podobnie z człowiekiem.

Usłyszał dochodzący z korytarza rumor. Jakiś pijus, pomyślał, a nie

tęskniąc za nocnym spotkaniem z pijanym członkiem załogi, wszedł trapem na skrzydło mostku kapitańskiego, rozsunął drzwi prowadzące do sterowni.

- Dobry wieczór - pozdrowił drugiego oficera,

- A, kapitan zasnąć nie może - odpowiedział Duun.

- A nie mogę - przyznał Achrem. - Są takie noce, w czasie których trudno zmrużyć oczy.

- Gdybym mógł przyłożyć głowę do poduszki, natychmiast chrapnąłbym - rzekł Duun.

- No to niech pan idzie, ja postoję - zaproponował kapitan. - Na co pan czeka? To poważna propozycja.

Duun wahał się.

- Jakże tak, kapitanie, nie mogę.

- Skoro każe?

- Nie wypada.

- Wypada, wypada, no, niech pan idzie się przespać.

- O niczym więcej nie marzę, ale...

- Nie ma żadnego „ale”.

- Kiedy pan nalega, kapitanie - zaczął się godzić z myślą o odpoczynku - co mam robić? Pójdę.

- No myślę, że pan wreszcie pójdzie - roześmiał się kapitan i klepnął po przyjacielsku w ramię Duuna. - Dobrej nocy.

- Dobrej nocy, kapitanie.

Achrem został sam w ciemności sterowni, w której w pulpicie mrugało kilka zielonych i czerwonych punktów świetlnych. Za bulajami kołysał się ocean. I gwiazdy, miliony gwiazd zawieszonych wysoko, zimnych, obojętnych wobec małej istoty ludzkiej z oczyma wlepionymi w niebo - wszechświat.

Raptem otwarły się drzwi do sterowni, wdarło się ostre światło z korytarza.

- Kapitanie - był to głos Duuna. - W korytarzu leży nieprzytomny Scarron, jest kompletnie pijany, coś bełkoce. Zdaje się, że zaszło coś niedobrego. Wolałbym nie rozumieć tego, co tamten mówi.

# Rozdział 4

Nieprzytomnego i bełkocącego Scarrona przeniesiono do izolatki, położono na łóżku. Z tego, co starał się powiedzieć, można było tylko tyle zrozumieć, że Decowi grozi jakieś niebezpieczeństwo, któremu zapobiec może tylko kapitan Achrem. Poszukiwania Deca nie dały żadnego rezultatu, Achrem kazał ogłosić alarm „człowiek za burtą”. Dec nie zgłosił się. Spenetrowano wszystkie pomieszczenia, gdzie mógłby się znaleźć, a w końcu spuszczone na wodę szalupę i do świtu szukano zaginionego w pobliżu statku, poproszono załogi statków kotwiczących w sąsiedztwie o czujność. Do śniadania los Deca wciąż nie był znany.

Śniadanie jedzono w przygnębiającym nastroju. Scarron, który wreszcie doszedł do siebie, miał wyrzuty sumienia, że nie udało mu się zapobiec tragedii; Knox kajał się przed Achremem za nocne pijaństwo. Lili płakała. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że „strażnicy zmarłych” przynoszą ich właścicielom nieszczęście; była przygotowana na nie.

Scarron poruszył się nerwowo w sfatygowanym fotelu. On też nie ma wątpliwości: morderca ma plan, a ten plan jest związany ze „strażnikami zmarłych”, radzi więc Achremowi, by ten pomyślał o zapewnieniu żonie bezpieczeństwa.

Achrem prześlizgnął się po obecnych wzrokiem.

- Najbezpieczniej będzie z dala od statku - powiedział, patrząc na żonę. - Muszę się zorientować, jaka jest możliwość odlotu do Europy.

Scarron ożywił się.

- Nie mam tu na redzie nic do roboty, też muszę pomyśleć o powrocie do Europy.

Ramsdell demonstracyjnie wzruszył ramionami.

- Pan jest w innej sytuacji, kapitanie, niż pani Lili.

Scarron obruszył się.

- Dlaczego w innej?

- Może pan być, jak każdy z nas, podejrzany o morderstwo Deca.

Scarron całym ciężarem cofnął się w głąb sfatygowanego fotela, aż ten zatrzęszczał niebezpiecznie.

- Ja? - warknął. - Trzeba na głowę upaść, by podejrzewać mnie o zamordowanie Deca, gdy prawie całą noc z nim piłem. Nie mogłem go zabić, bo byłbym pierwszym podejrzanym! Ale coś panu powiem: ja wiem, kto mógł być zainteresowany jego śmiercią. Piliśmy wiele, a podczas picia łatwo o zwierzenia. Dec dużo mówił, tyle mówił, że bez trudu mógłbym wskazać tego, komu zawadzał.

Zrobił długą pauzę, wszyscy w mesie czekali, kogo Scarron oskarży, lecz on zamilkł.

- Nic więcej nam pan nie powie, kapitanie? - spytał Ramsdell.

- Łatwo oskarżać, łatwo rzucić podejrzenie na kogoś - mówił powoli Scarron - trudniej udowodnić to.

Uwagę tę pozostawiono bez komentarza.

Kiedy kończono śniadanie, Ramsdell wystąpił z propozycją popłynięcia do portu. Pretekst jest dobry: zawiezenie trupa Maribou, którego trzeba pochować zgodnie z muzułmańskim obrządkiem. On, Ramsdell, może popłynąć i ktoś jeszcze na ochotnika. Gdy będzie na lądzie, spróbuje się dowiedzieć, jakie są możliwości odlotu z Nigerii do Europy.

- Dobrze - zgodził się Achrem. - Niech pan płynie. Ale proszę pamiętać, że jest pan zdany na siebie. Kogo pan chce wziąć?

- Martina - odpowiedział bez wahania Ramsdell.

- Dobrze, niech płynie.

Po śniadaniu Ramsdell podszedł do stojącej przed bulajem Lili.

- Mogę wstąpić do pani przyjaciółki - powiedział. - I chyba wstąpię. Czy coś jej przekazać?

Ucieszyła się.

- Proszę ją pozdrowić i powiedzieć, że mam nadzieję na rychłe spotkanie z nią.

- Nie znam jej adresu.

Podąła mu go.

- Chcę przywieźć z lądu dobre wiadomości - powiedział Ramsdell na

pożegnanie.

Wyszedł na pokład, przechylił się na falszburkę. Łódź była już gotowa do odpłynięcia. Martin siedział na ławeczce koło silnika, czekał.

Szalupa z napisem „Oban” na burtach przepłynęła redę, bez zatrzymywania jej przez posterunki wojskowe wpłynęła na lagunę. Najbliższe otoczenie nic nie mówiło o stanie wojennym, na lagunie był spokój, z kotwiczących statków przeładowywano cement na szałandy. W porcie Ramsdell oddał zwłoki Maribou, podpisał protokół. W mieście również nie było żadnych powodów do niepokoju. Z nagłówków gazet wynikało, że nowym szefem Federalnego Rządu Wojskowego został naczelny dowódca sił zbrojnych Republiki Federalnej generał Olusegun Obasanjo.

Barczysty Murzyn, który otworzył Ramsdellowi drzwi, poprosił gościa do salonu, pani Harriet Wyatt za chwilę powinna zejść.

W salonie z opuszczonymi żaluzjami było mroczno i chłodno. Na stoliku ze szklanym pulpitem stał dzban z lemoniadą, szklanki. Na ścianach wisiały afrykańskie rzeźby, skóra antylopy.

Weszła Harriet, Ramsdell wstał, skłonił się, przekazał pozdrowienia od Lilii i... Bestry'ego Cowpera.

Kobieta uśmiechnęła się.

- O, i od Bestry'ego? Co u niego słyhać? - zainteresowała się.

Ramsdell ucieszył się. Tak jak przypuszczał, Harriet znała Cowpera.

- Stara się sobie jakoś radzić - odpowiedział wymijająco Ramsdell.

Harriet zamyśliła się.

- Podejrzewałam Li, że coś przede mną ukrywa, nie mogłam jednak przypuszczać, że właśnie to będzie Bestry.

- Jakie miała powody, by nie być z panią szczerą?

- Jakież? - roześmiała się. - Bestrym nie można się chwalić, ale też trudno p nim zapomnieć, prawda? - spojrzała wyczekująco. - Chyba nie myślę się, co?

- Stara miłość nie rdzewieje - rzekł po chwili Ramsdell.

- Otóż to! - ucieszyła się Harriet. - Trafnie to pan ujął. - Napełniła szklanki lemoniadą. - A więc Li ma kłopoty - stwierdziła.

- Na szczęście kapitan Achrem jeszcze niczego się nie domyśla.

- To aż tak się sprawy mają? Szalona Li! - co ona zamierza robić? - spytała, domyślając się nieuniknionych na statku komplikacji.

- Cowper przyplłynął z „Kalipso”.

- Ach tak.

Ramsdell nie wiedział, co przez owe „tak” należy rozumieć.

- Wczoraj zatonął „Stirling” - powiedział - którego kapitan Scarron właśnie u nas gościł..

Głowa Harriet poruszyła się kilka razy, jakby chciała powiedzieć: można się było tego spodziewać.

- Dziś w nocy zginął chief. Jego zniknięcie niektórzy łączą z osobą kapitana Achrema - mówił dalej Ramsdell.

- Boże! - jęknęła Harriet - współczuję biednej Li, wyobrażam sobie, co przeżywa. - Czyżby z jej męża był aż taki zazdrośnik?

- Chief kochał się w Li w taki sposób, że to trudno było ukryć - mówił ponuro Ramsdell. - Nie krył się ze swymi uczuciami. Kapitan musiał o nich wiedzieć.

- Kobieta na statku, piękna kobieta... Można było przewidzieć następstwa.

Ramsdell opowiedział z kolei o dwóch „strażnikach zmarłych”, które zginęły, o trzecim, należącym do Li; śmierć Bestry'ego i Maribou przemilczał.

- To niesamowite! - westchnęła Harriet. - Dlaczego Li nie przyplłynęła? Tu byłaby bezpieczna.

- Nie wiedzieliśmy, jaka jest sytuacja w mieście.

- Muszę ją natychmiast stamtąd zabrać - zdecydowała Harriet. - Nie pozwolę jej dłużej męczyć się na tej redzie.

Lemoniada był chłodna, o łagodnym cytrynowym smaku, Ramsdell pił ją z przyjemnością.

- A Bestry? - spytał.

- Co Bestry? - nie zrozumiała.

- Zostanie na statku?

- Sądzi pan, że powinnam się nim zająć?
- A jeżeli Achrem okaże się człowiekiem nieobliczalnym? - zastanawiał się głośno Ramsdell.
- Ależ ja nie mogę go tu sprowadzić! Chyba to jest oczywiste! - oburzyła się Harriet.
- Ramsdell przyznał jej rację.
- Słusznie, niech Bestry sam pomyśli, jak wyjść z opresji. - Zrobił krótką pauzę. - Prawdę mówiąc nie wierzę, by mu się to udało.
- Nie znam Achrema, dotąd sądziłam, że to pantoflarz, tymczasem okazuje się, że to Otello. „Na Boga! - zawołała z patosem fragment kwestii tytułowej postaci z dramatu Szekspira. - Myślę, że moja żona jest niewinna i że nią nie jest”.
- Pani przyjaciółka nie mówiła o nim?
- Niewiele. Wyobrażałam go sobie jako człowieka łagodnego, niezdolnego skrzywdzić muchy.
- Też bym chciał, aby taki był - westchnął Ramsdell.

Z gabinetu wyszedł Bert Wyatt, w szortach, przewiewnej białej lnianej koszuli z krótkimi rękawami, przystojny czarnowłosy mężczyzna, o inteligentnym wyrazie twarzy. Harriet przedstawiła męża Ramsdellowi, równocześnie dyskretnie dała mu do zrozumienia, że nie powinien o wszystkim mówić mężowi, sama od razu naprowadziła rozmowę na tematy polityczne.

Nigeria, mówiła Harriet, jest szóstym producentem ropy naftowej w świecie, pierwszym w Afryce. To kraj, przyszłości. Nigeria National Oil Corporation proponuje Wyattowi dobre warunki pracy. Waha się, ale chyba rzuci ubezpieczenia statków i przejdzie do Korporacji Naftowej.

- Harriet żałuje, że nie ukończyła studiów medycznych, miałyby tu nieograniczone możliwości. Pan wie - mówił Wyatt, - że w Nigerii na jednego lekarza przypada dwadzieścia pięć tysięcy pięćset osób? To jest prawie dwadzieścia pięć tysięcy więcej niż w krajach rozwiniętych!

Rozmowa przeszła na temat Nowego Międzynarodowego Ładu

Ekonomicznego, którego Wyatt był zwolennikiem. Mówił o siedmiuset milionach mieszkańców globu żyjących na pograniczu głodu, o zbrojeniach i pięćdziesięciu milionach ludzi zatrudnionych w kadrze służącej celom militarnym. Upłynęło nieco czasu, nim gospodarze zorientowali się, że ich gość w dyskusji staje się coraz bierniejszy.

- Zjrzą do kuchni - powiedziała Harriet, zostawiając mężczyzn z whisky w szklankach.

Wyatt poczęstował gościa papierosami.

- Czy coś już wiadomo na temat przyczyn utonięcia „Stirlinga”? - spytał Ramsdell.

- Niewiele. Zeznania członków załogi są sprzeczne, ale już teraz można zaryzykować twierdzenie, że ktoś przysłużył się do zatopienia tego statku.

- Kto?

- Kto wie czy nie dowództwo „Stirlinga“.

- Kapitan Scarron jest na „Obanie” - rzekł Ramsdell. - Zjawił się u nas na kilka godzin przed zatopieniem czy zatonięciem - „Stirlinga”.

- Miałem informatora - wyznał Wyatt. - Dużo wiedział na ten temat. W przeddzień utonięcia „Stirlinga” miał się ze mną skontaktować, ale nie doszło do tego. Nie wiem dlaczego.

- W jaki sposób z kimś z morza kontaktował się pan?

- Telefonicznie - odpowiedział Wyatt. - A pieniądze zostawiałem mu w umówionym miejscu. Podejrzewam, że spotkało go nieszczęście. Ten człowiek potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy. Właśnie w tym dniu miał otrzymać ode mnie pewną sumę, dość wysoką. Zależało mu więc na tym spotkaniu. To była pilna sprawa. Miał komuś przekazać te pieniądze w nieprzekraczalnym terminie. Gardłowa sprawa, jak twierdził.

Ramsdell zastanowił się.

- Słyszał pan o Cowperze?

Wyatt zaprzeczył.

- A o Białym Diabie?

Wyatt uśmiechnął się.

- Tak, o nim tak.

Ramsdell:



- To on pracował dla pana?

Wyatt:

- Jest pan domyślny.

Ramsdell opróżnił szklankę z whisky.

- Biały Diabeł ma popularność na redzie.

- To łobuz, ale bez takich jak on, trudno by mi było cokolwiek zrobić dla mojego chlebodawcy - przyznał Wyatt. - Wiem, że sumienie ma równie brudne jak miejskie ścieki, ale tylko tacy nie wzdrygają się na widok pieniędzy za zdradę, donosicielstwo.

- Za zdradę? - podjął Ramsdell.

- Podejrzewam, że ten człowiek pracował na dwie strony. Dlatego miał tak dobre informacje. Prawdopodobnie ktoś dowiedział się o tym i zaczął go szantażować. Dlatego potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy.

Czoło Ramsdella skropił pot Eureka! Oto przypadkowe (czy na pewno przypadkowe?) gadulstwo Wyatta przybliżyła Ramsdellowi ukrywane dotąd ziarno prawdy. Bestry Cowper miał oddać pieniądze komuś, kto go szantażował. Bestry Cowper - to Biały Diabeł! Bestry Cowper miał przyplłynąć na ląd z informacjami dla Wyatta wówczas, gdy szalupa w przededniu zamachu stanu dobiła do nabrzeża przy hotelu Federal Pałace. Ale informator nie zjawił się, bo wcześniej został zamordowany.

Podniecenie Ramsdella zaniepokoiło Wyatta.

- Źle się pan czuje?

- Przeciwnie - zapewniał Ramsdell. - Dziś w nocy otrzymałem pozdrowienie od Białego Diabła.

- Nie widzę powodu do radości - zauważył Wyatt.

- Ale to nie był Biały Diabeł.

- Skąd ta pewność?

- Bo wiem, że on nie żyje.

Ramsdell w kilku zdaniach przedstawił drogę do odkrycia, że Biały Diabeł jest tym marynarzem (nazwiska nie podał z uwagi na Lilię), którego ciało znaleziono koło statku. A ponieważ Biały Diabeł nie żyje, nie może przesyłać pozdrowień? Musi to więc być ktoś, kto szantażował Białego Diabła, kto wiedział o jego długi pieniężnym, szukał tych pieniędzy, a

ponieważ nie sądził, by Białego Diabła utożsamiano z owym zamordowanym marynarzem (znów przemilczał nazwisko Bestry'ego Cowpera), spróbował udawać Białego Diabła i trochę popracować na jego konto!

Powoli i Wyatt zaczynał z tego coś rozumieć.

- A więc Biały Diabeł był na „Obanie” - powiedział.

- Tak - zgodził się Ramsdell. - Zawsze był w pobliżu statku, który miało spotkać nieszczęście.

- Był na „Kalipso”? - upewniał się Wyatt.

- Oczywiście.

- A na „Stirlingu”?

- To byłaby nieostrożność z jego strony. Ale proszę mi wierzyć, że i w tym przypadku mógł mieć swój udział w zatopieniu. Kapitan Scarron był częstym gościem na „Obanie”, on i jego ludzie, którzy go przywozili i na ogół zawsze czekali na powrót kapitana. - Uśmiechnął się. - Tym razem nie czekali na niego, odpłynęli. Jakby wiedzieli, że kapitan nie będzie miał dokąd wrócić. A poza tym nie jestem pewien, czy „Stirling” naprawdę utonął. Za pół roku, za rok może pojawi się w jakimś azjatyckim porcie zapomniany przez towarzystwa ubezpieczeniowe „Stirling”, statek nikomu nie znany.

Wyatt nie krył podziwu dla Ramsdella.

- Dziękuję, wiele mi pan dopomógł - posmutniał. - I utwierdził mnie w przekonaniu, że najwyższy czas, abym zmienił miejsce pracy.

Murzyn, poprzedzony przez Harriet, wniósł półmisek z gotowanymi plantanami z omletem, wino palmowe lagmi, na deser tiba-yoka - pieczone banany polane syropem.

- Nie wiem, czy pan zaakceptuje naszą kuchnię - powiedziała Harriet, pomagając Murzynowi w nakładaniu na talerz Ramsdella - ale postanowiliśmy się odżywiać tym samym, co tubylcy. Prawie tym samym - poprawiła się szybko, gdy gość spojrział na nią podejrzliwie, nieufnie, zapewne myśląc o plemionach zjadających węże i termity.

- Spróbuję - powiedział bez przekonania Ramsdell.

Gospodarz poczęstował go winem; Ramsdellowi odpowiadał smak, bukiet, z uznaniem skinął głową.

Wyatt chciał żonie powiedzieć o tym, do jakich wniosków doszli podczas rozmowy, gdy ona bawiła w kuchni.

- Niestety - przerwał Ramsdell. - Afryka nie wiele dostarcza nam emocji kulturalnych. To nie Europa z jej kulturą i sztuką. Tu żyje się sensacją innego typu - zbrodnią. - Gospodarz chciał zabrać głos, ale Ramsdell nie dopuścił go do słowa. - Jak dotąd moim największym przeżyciem w Afryce jest zbrodnia na statku.

Harriet była innego zdania. To zależy od punktu widzenia, mówiła. Prawie trzydzieści lat temu w „The Yorker Magazine” ukazał się rysunek Alaina przedstawiający jedenastu Egipcjan, łysych i półnagich, rysujących pozującą im modelkę. Kąt widzenia każdego z nich był inny, inaczej widzieli stojącą przed nimi czarnowłosą piękność, nic więc dziwnego, że w efekcie każdy z nich rysował inną postać. Podobnie z Afryką czy z Europą, każdy znajduje w tych kontynentach co innego, bo zależy, jak na nie patrzy.

Ramsdell nie zgodził się z gospodynią. Mówił o Francji, w której każdy port dostarczał mu wielu pięknych i wzniosłych przeżyć, bo każdy port - to zabytki, zbiory dzieł sztuki; opowiadało Hiszpanii z corridą.

- Barbarzyństwo - szepnęła z odrazą Harriet.

Ramsdell zmartwił się.

- Nie lubi pani Hiszpanii?

- Nie, nie cierpię przemocy, a jeszcze bardziej wykorzystywania jej w rozrywce tłumu.

Gość starał się uszanować upodobania pani domu, przełknął kawałek banana, popił winem.

- Na szczęście Europa to nie tylko Hiszpania, jest w niej i Grecja - powiedział. - Melancholijne rumowiska starożytnej kultury...

Harriet rozmarzyła się.

- Ach, Grecja! Straciłam dla niej głowę!

I na dowód swych słów zaczęła opowiadać o miastach, zabytkach, muzeach, wędrownościach po górach, klasztorach. Mówiła z zapalem, ze

szczerym zachwytem dla kultury śródziemnomorskiej, ze znajomością bogatej przeszłości kraju nad morzami Egejskim, Jońskim, Kreteńskim.

- Poznała pani Grecję w podróży poślubnej? - spytał obojętnym tonem Ramsdell.

- Nie, mąż przez jakiś czas pracował tam - odpowiedziała.

- O, kiedy?

- Nim przy płynęliśmy do Nigerii.

- Też był pan tam agentem ubezpieczeniowym? - dociekał Ramsdell, krojąc omlet.

- Oczywiście - odparł Wyatt.

- Ach, zazdroszczę takiej pracy. Wyobrażam sobie podróże po tym pięknym kraju, małe miasteczka nad zatokami, hoteliki. Na mnie największe wrażenie z tych miasteczek zrobiła Kawała - powiedział Ramsdell i szybko spojrzał na Wyatta.

- Tak, byliśmy tam - przyznał gospodarz.

- Więc chyba i sprawa „Kalipso” nie była panu obca? - ciągnął dalej Ramsdell.

Wyatt milczał chwilę, zastanawiał się.

- W jakim sensie?

- Wiedział pan, że utonęła.

- Tak - przyznał Wyatt.

- Musiał się pan zdumieć, gdy tutaj, na redzie znów utonęła.

- Taak - zgodził się niechętnie Wyatt.

Ramsdell zajął się jedzeniem.

- Może i na nim był wówczas Biały Diabeł - rzekł po chwili Wyatt.

Ramsdell:

- Może, ale wtedy musiałyby się nazywać inaczej.

- Skąd ta pewność?

- Byłem na tym statku.

- O! - zdumiał się Wyatt.

Ramsdell opowiedział o swej dawnej przygodzie z „Kalipso”, o sztormie i upozorowanym utonięciu.

- Hm! - mruknął Wyatt po wysłuchaniu Ramsdella. - Być może za wiele

zła przypisujemy Białemu Diabłu.

- Albo ktoś chce, by lista jego grzechów stale rosła.

- Ha, i to jest możliwe - zgodził się bez entuzjazmu Wyatt.

Harriet zatrzepotała nerwowo rzęsami.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

Mężczyźni nie spieszyli się z pomocą wyjaśniania czegokolwiek.

- W dotychczasowym naszym rozumowaniu - powiedział Ramsdell - zakłada się, że główny przestępca musi być na statku, w morzu. - Zrobił krótką pauzę, spojrzał surowo na Wyatta. - A jeśli on jest na lądzie i z lądu kieruje wszystkimi wypadkami?

Wyatt zastanowił się.

- Choć to mało prawdopodobne, musimy wziąć i tę ewentualność pod uwagę.

- Dlaczego mało prawdopodobne? - spytał Ramsdell.

Wyatt nie spieszył się z odpowiedzią.

- Pirat na lądzie?

- Raczej szef piratów - poprawił go Ramsdell.

Nagle Wyatt zirytował się.

- Potrafi pan komplikować sprawę! Gdzie go pan chce szukać? Wśród kogo? W takiej Nigerii biały jest jak aktor na scenie. Zna pan takiego bezczelnego durnia, który chciałby ryzykować życiem?

- W tym hazardzie można wiele wygrać.

- I wszystko stracić.

- Owszem, ale hazardziści na ogół wierzą w swe szczęśliwe gwiazdy.

Wyatt wstał, przeszedł się między stołem a oknem, poprawił coś przy wiszącej rzeźbie.

- Czy pan, Ramsdell, nie za wiele się tą sprawą interesuje? Po co? W tropiku nadmierny wysiłek może prowadzić do katastrofy. Niech pan szanuje swoje zdrowie, chyba chce pan wrócić do Europy, do tej pięknej Europy, którą się pan tak zachwyca! - Głos Wyatta brzmiał coraz groźniej. - Każde większe podniecenie w tropiku może człowieka zabić.

Wracając do portu, Ramsdell szedł przez miasto jak pijany. Trochę podniecało go wypite wino, ale jeszcze bardziej detektywistyczna radość ze zbliżania się do celu. Był ostrożny w wyciąganiu ostatecznego wniosku, postanowił się nie spieszyć. Ten dzień i tak dał mu już wiele satysfakcji z odkryć, których nie oczekiwał, nie było więc potrzeby psuć go pospiesznym działaniem. Wie już, że szalona Li miała romans z Bestrym Cowperem, że ten miał jakiś związek z działającymi na redzie piratami, był Białym Diabłem lub utrzymywał z nim bliskie stosunki. Kiedy uważnie słuchał Wyatta, przysłała mu do głowy myśl, że Biały Diabeł nie musiał być aż tak straszny, jak go malują, być może jest od niego ktoś znacznie niebezpieczniejszy. Nie krył się z tym spostrzeżeniem i ze zdumieniem stwierdził zaniepokojenie u Wyatta, przerażenie, które wywołało w nim agresję, zaczął straszyć Ramsdella. Czyżby sumienie Wyatta nie było najczystsze? Czy właśnie on nie jest główną sprężyną w pirackim mechanizmie? Zawsze jest tam, gdzie toną statki: w Grecji, nad Zatoką Benin. I zawsze jako pracownik firmy ubezpieczeniowej. I nigdy nie udało mu się obronić interesów firmy!

Pomyślał najpierw o Harriet, potem o Lili. Ta ostatnia chyba domyśla się, że została wplątana w jakąś paskudną historię, ale jej przyjaciółka Harriet prawdopodobnie nie wie, z kim żyje pod wspólnym dachem. Dlaczego piękne kobiety nie mają samych zalet, intuicji, która bezbłędnie pomagałaby im w wyborze szlachetnych mężczyzn? Zrobiło mu się żal tych kobiet, pięknych i mądrych, a jednak zamieszanych w brudne męskie interesy.

Uśmiechnął się na wspomnienie piwnych oczu Lili, jej gładkich czarnych włosów i nagle poczuł tępy ból w głowie, ostre szarpnięcie ciałem.

Przytomność odzyskał dopiero w samochodzie mknącym estakadą przez dzielnicę portową, Apapę, za miasto. Przed nim siedział kierowca, tęgi, zwalisty, obok niego chudy, również czarnoskóry, w dużych przeciwsłonecznych okularach w szylkretowej oprawie. Dyskretnie spojrział w prawo i w lewo. Siedział między dwoma Murzynami, w jednym z nich rozpoznał detektywa Billa. Obecność jego uspokoiła nieco Ramsdella.

- Halo, Bill - pozdrowił swego znajomego.

Murzyn nie odpowiedział, patrzył przed siebie, na drogę opadającą między coraz nędzniejsze zabudowania, kłecie stawiane z różnych odpadów, zebranych na śmietnikach miast, na siedzących przed tymi chatami nędzarzy.

Ramsdell zamknął oczy, stał się skupić myśli. Billa znał jako detektywa. I dotąd to mu wystarczało. Ale dla kogo Bill pracuje? Dlaczego zorganizował porwanie? Jakich oczekuje informacji? A jeśli. Bill nie jest detektywem, a zbirem nasłanym przez kogoś, kto nie może patrzeć obojętnie, jak Ramsdell węszy?

Otworzył oczy, raz jeszcze popatrzył na Murzyna siedzącego przy kierowcy i na tego, którego miał z prawego boku. Nie, żaden z nich nie mógł być kucharzem u Wyatta. Po raz drugi od chwili porwania poczuł ulgę. Jeśli byliby to ludzie Wyatta, to Ramsdell niewielkie miałby szanse na wyjście z opresji cało. Porwanie dowodziłoby, że Wyatt przeraził się i chce usunąć Ramsdella. Skoro to nie są zbiry Wyatta, jest szansa ujęcia z życiem. Lecz za jaką cenę?

Samochód zjechał na piaszczysty trakt, kilkanaście minut trząsł się po nim w kłębach kurzu, by wreszcie stanąć nad laguną ze spokojną szmaragdową wodą.

Bill wysiadł pierwszy, dał znać Ramsdellowi, by opuścił samochód. Z wozu wyszedł też facet, który siedział na tylnym siedzeniu obok Ramsdella.

- Zobacz, co ma przy sobie - powiedział do tamtego Bill.

Wielkie łapska obmacywały Ramsdella, wywracały jego kieszenie, rozerwały paczkę z papierosami, wytrząsnęły na ziemię całą zawartość nesesera.

Obszukujący Ramsdella facet wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że nie ma przy sobie niczego - powiedział zawiedziony.

Bill podszedł do Ramsdella.

- Domyślasz się, że nie przywieźliśmy ciebie na piknik: nie baw się z nami w kotka i myszkę, odpowiadaj na pytania jasno, no i najważniejsze, byś mówił prawdę.

Ostre słońce w zenicie rąbało w obolałą głowę Ramsdella jak siekierą.

- Głowa pęka mi z bólu - rzekł Ramsdell. - Pozwól mi ją wsadzić w

wodę.

Murzyn na znak zgody skinął ręką, Ramsdell pochylił się nad wodą. Okład przyniósł mu ulgę; rozejrzał się wokół.

- Powiedz Bill, któremu to zawdzięczam tę prymitywną narkozę? - spytał. Tamten uśmiechnął się.

- Jesteśmy państwem młodym, wszystkiego dopiero się uczymy. Nawet bicia po głowie.

- Mogliście mnie poprosić, udzieliłbym wam lekcji za darmo - mówił Ramsdell, starając się, by głos jego - brzmiał pewnie. - Czy koniecznie trzeba było stosować wobec mnie przemoc? Mogliśmy pójść do jakiejś knajpy i porozmawialibyśmy przy whisky.

Bill oparł się o otwarte drzwi samochodu, wyglądał na człowieka zmęczonego, czy wręcz sfrustrowanego problemami, które go nad tę lagunę w upalne południe ściągnęły.

- Ty przywiozłeś do portu ciało Maribou? - bardziej stwierdził, niż spytał Bill.

Ramsdell skinął twierdząco głową.

- I, oczywiście, nie wiesz, kto go zabił?

- Mam pewne przypuszczenia, ale to za mało, by na tej podstawie oskarżać.

Bill:

- Słyszałeś o Białym Diabie?

- Trudno o nim nie wiedzieć.

- Nie jego podejrzewasz?

- Nie wiem, kto nim jest.

- Na pewno? - oczy Billa rozeszły się w nieufnym spojrzeniu. - A dlaczego właśnie ty przywiozłeś dało Maribou? Po co poszedłeś do Wyatta?

Ramsdellowi trudno było ukryć zakłopotanie. Nie wiedząc, czego Bill od niego chce, nie mógł wyznać prawdziwych powodów, które skłoniły go do opuszczenia statku. Bał się też kłamać, bo nie mógł się zorientować, do jakiego stopnia Bill zna wydarzenia na „Obanie”.

- Na statku nie było wielu chętnych do odwiezienia trupa. Kto lubi odpowiadać na setki pytań, wyjaśniać, dyktować protokół? Zwykle jakoś



daję sobie z tymi sprawami radę, więc myślałem, że i tym razem wybrnę. No i gdyby nie ty, mógłbym powiedzieć, że poszło gładko.

Bill nie zapomniał o drugim pytaniu.

- Po co byłeś u Wyatta? - przypomniał.

- Z pozdrowieniami od Lili Achrem, przyjaciółki Harriet - kłamał.

- Niczego jej nie zaniósłeś, niczego od niej nie wzięłeś? - pytał mniej pewny siebie Bill.

- Jak widzisz, wracam z pustymi rękoma. Do niej też niczego nie niosłem, nawet listu.

Teraz Bill poczuł ból głowy, bo siadł na progu samochodu i schował czoło w dłoniach.

- Coś ci się nie klei. Bill? - domyślił się Ramsdell, śmiejąc się w duchu z Murzyna, który naiwnie wierzył, że wydobędzie prostymi pytaniami coś, co go interesuje. - Spróbujmy porozmawiać inaczej - zaproponował. - Ja ci coś powiem, ale ty mnie też. Rozumiesz: coś za coś. Zgoda?

Murzyn oderwał ręce od czoła, popatrzył na białego nieufnie. - A po co chcesz wiedzieć więcej, 'niż wiesz?

- Ot, tak sobie.

- Pracujesz dla kogoś?

- Nie, jestem ciekawski.

- I co cię tak ciekawi?

- Co? A choćby to - za czym ty wężysz.

Bill zastanowił się.

- A jeśli ci powiem, co ty mi w zamian powiesz?

- Zapewniam cię, że mam czym handlować.

Detektyw poprosił kierowcę o papierosy, wyciągnął też w stronę Ramsdella, lecz ten odmówił, pochylił się i pozbierał rozrzucone rzeczy, powkładał do nesesera, zapalił swojego papierosa. Czekał, aż Bill zdecyduje się odpowiedzieć na pytanie.

- Narkotyki! - mruknął krótko.

Ramsdell gwizdnął przeciągle.

- Ślad prowadził na „Kalipso”?

- Nie tylko - zgodził się Bill. - Na „Stirlinga” również.

- I macie jakieś dowody, konkretne fakty?
- Co na nie natrafimy, to ktoś je niszczy.
- Maribou to był twój człowiek?
- Dużo chcesz wiedzieć.
- Nie myślę się, co, to twój człowiek?

Bill niechętnie skinął głową. Tak, już znalazł nitki prowadzące do przemytników, ale natrafił też na coś ważniejszego dla siebie, na marynarza, który uprowadził mu córkę i chyba był winny jej śmierci.

- Chodzi o Bestry'ego Cowpera - powiedział Ramsdell. - Nie żyje, znaleziono go za burtą statku, przywiązanego do łańcucha kotwicznego.

Bill udał, że nie słyszy.

- To Maribou zabił Cowpera, prawda? - mówił dalej Ramsdell. - Ale kto zabił Maribou?

Bill ożywił się.

- Powiedziałem ci wiele, co usłyszę od ciebie?

- Tak - zgodził się Ramsdell - dla takiego ciekawskiego, jak dla mnie, to ważne informacje. Odplacę ci równie cenną - zaczęła mu nagle świtać myśl wykorzystania naiwnego Billa dla swoich celów. - Najpierw mi jednak uwierz, że mam ręce czyste i choć piłem wino u Wyatta, nie łączą mnie z nim żadne interesy.

Murzyn skinął głową, że wierzy Ramsdellowi.

- Uganasz się za płótkami, Bill, a gruba ryba uchodzi odwróciła wzrok. - Temu mojemu rozczarowaniu było na imię Bestry, Bestry Cowper.

Mężczyzna na dźwięk tego nazwiska drgnął nieco; uczuł w krtani nagłą suchość, sięgnął po szklankę z whisky.

- Wierz mi, że jego pojawienie się na statku było dla mnie przykrą, bardzo przykrą niespodzianką. Dopiero później zrozumiałam, że popełniłam błąd, nie mówiąc ci o dawnej z nim znajomości. Gdybym to uczyniła, zapobiegłabym dalszym wydarzeniom. Tak mi się wydaje.

Achrem opuścił głowę, nie patrząc na żonę.

- Chyba mnie źle zrozumiałeś. Nic mnie z nim nie wiązało, żadna przyjaźń, sympatia. - Przechyliła się w jego stronę, położyła rękę na kolanie. - Nigdy cię nie zdradziłam, wierz mi. Jeśli nie byłam z tobą szczerą, to tylko

dlatego, by ci zaoszczędzić przykrości. - Głos jej był pełen skruchy. - To był mój błąd, za który miałam zapłacić wysoką cenę. Przeliczyłam się. Za bardzo wierzyłam w siebie, może za mało w ciebie?

Mężczyzna milczał.

- Podejrzewałam ciebie, że go zabiłeś.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Bestry szantażował mnie - wyznała szczerze. - Zaczęło się od drobnych sum, a potem były większe, coraz większe. Miał potworne długi. Wciąż komuś musiał oddawać pieniądze. Mówił, że jeśli mu nie pomogę, oczerni mnie przed tobą. Bałam się tej groźby, chciałam temu zapobiec, więc dawałam mu pieniądze. W końcu jednak zabrakło mi ich. Musiałam je jakoś zdobyć. To on mi podpowiedział. Scarron poszukiwał narkotyków. Od czasu do czasu trzeba je było przewieźć z miasta. Scarron bał się, że jest obserwowany. Nie ufał swoim ludziom. Czy zwróciłeś uwagę, że wszystkich „strażników zmarłych” ja przywiozłam na statek? W każdym z nich były ukryte narkotyki. Polem zaczęłam ryzykować i przewoziłam różnie, ale zawsze trafiały do „strażnika zmarłych”, gdzie w zamian za nie czekały na mnie pieniądze Scarrona.

Umilkła, czekała na sąd męża.

- A ty nie zabiłaś Bestry'ego? - spytał głucho.

Zaprzeczyła

- I nie spowodowałaś, by ktoś to zrobił?

Zaprzeczyła po raz drugi.

Odetchnął z ulgą.

- Wybacz, ale musiałem to usłyszeć z twoich ust. - Ścisnął jej dłoń. - Skoro tak, to nie mamy już o czym mówić - rzekł łagodnie. - Bałem się czego innego - wyznał.

- Czego? - spytała.

Uśmiechnął się serdecznie.

- Ach, nie wracajmy do tego. Najważniejsze, że wszystko, co złe, należy do przeszłości.

Nie zgodziła się z nim.

- A „strażnicy zmarłych”? Gnębi mnie ta sprawa, czuję, że ma jakiś

związek ze mną. Boję się.

Tak, nie można lekceważyć faktu, że dwóch posiadaczy „strażników zmarłych” nie żyje. Jaki jest związek między jedną śmiercią a drugą - trudno powiedzieć, ale jeśli jest - trzeba pamiętać, że na statku pozostał trzeci „strażnik zmarłych”, który należy do Lilii.

- Chcesz wracać do Europy? - spytał.

Zaprzeczyła.

- Wobec tego postaram się zrobić wszystko, byś była na statku bezpieczna. - Zastanowił się. - A najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas skorzystasz z gościnności Harriet

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kochany, nie wiem, jak ci dziękować.

Pocałował ją w karczek.

- To ja tobie chcę podziękować.

- Za co? - zdziwiła się.

- Że nie odchodzisz ode mnie - wyznał cicho.

Przeniosła się z fotela na kolana męża.

- Mój ty kochany głuptasku - szepnęła pieszczotliwie. - Nigdy już tak więcej nie myśl.

W miarę jak Ramsdell zbliżał się do statku, jego entuzjazm z częściowego rozwiązania zagadki wydarzeń na „Obanie” topniał. Patrzył na czarne burty „Obana”, na sterczącą białą nadbudówkę i myślał o Białym Diabie, który - nawet jeśli nie był tym, za kogo chciał uchodzić - mógł być groźny.

Na pokładzie statku powitał go Scarron, niecierpliwy, oczekujący na wiadomości z lądu, nie kryjący się z nadzieją na rychły powrót do Europy, prawie wmawiający Ramsdellowi, że nic nie stoi na przeszkodzie, by już, natychmiast, opuścił redę.

Ten człowiek - pomyślał Ramsdell - za bardzo się spieszy. Kto wytrzymał tyle miesięcy redy, nie powinien w takiej sytuacji, jak ta, zachowywać się jak dziecko. Czy przyczyną jego niecierpliwości jest brak narkotyków, czy

może co innego?

Zbył Scarrona kilku nic nie znaczącymi słówkami. Nie poszedł do kapitana, by zdać mu relację z pobytu na łądzie, a udał się prosto do kuchni. Martinowi również zakazał z kimkolwiek dzielić się wrażeniami z łądu.

Esmerindo Epifanio siedział na białym, okrągłym taborecie koło kuchni, odpoczywał przed rozpoczęciem wydawania do mes kolacji. Powitał Ramsdella spojrzeniem krótkim, niechętnym.

- Powiedz swemu przyjacielowi, Białemu Diabłu - zaczął Ramsdell od progu - że tylko godziny dzielą nas od wizyty nigeryjskiej policji. - Dał kucharzowi chwilę czasu na spamiętanie tego, co powiedział. - Tyle tylko mogę zrobić dla Białego Diabła. Niestety, znalazł się w paskudnej sytuacji i chyba tylko diabeł może mu pomóc. - Znów umilkł na chwilę. - Wplątał się w paskudną sprawę, w narkotyki.

Kucharz pobladł.

- Skąd wiesz?

- W mieście tylko niemowlęta o tym nie mówią.

- Dlaczego Biały Diabeł ma ci wierzyć?

- Nie każę mu, ale wątpię, czy pozostaje mu coś innego do wyboru, niż to, by mi jednak zaufać.

Ramsdell patrzył na grube ręce kucharza. Dla takich rąk uderzenie nożem, uduszenie czy upozorowanie samobójstwa poprzez podwieszenie trupa do sufitu - to żaden problem. Te ręce mogły zabić, a jednak nie zabiły. Intuicja podpowiadała Ramsdellowi, by uwierzył we wcześniejsze jego zeznania, że to nie on zamordował Maribou. Więc kto? Ten, kto udaje Białego Diabła, kto chce, by na statku uwierzono w jego istnienie. Trochę to za słabe uzasadnienie do dokonania morderstwa. A może morderca bał się Maribou, lękał się jego zeznań? Może Maribou wiedział coś o nim, co mogło zagrażać jego bezpieczeństwu?

- Esmerindo, Biały Diabeł zabił Maribou, a Maribou był agentem policji. Wiesz doskonale, że żadna policja na świecie nie popuści tego płazem. Powtórz to swemu przyjacielowi. Może będzie miał jeszcze dość czasu, by zmienić miejsce pobytu.

Kucharz dźwignął się ze stołka, podszedł do stewarda.

- Czas na wydawanie kolacji - powiedział z irytującą obojętnością, jakby wszystko to, co usłyszał, nagle uznał za nieważne.

- Właśnie idę do pentry - rzekł również obojętnie Ramsdell. - Co dziś przygotowałeś dobrego? Jestem potwornie głodny.

- Czopsy baranie - odrzekł Epifanio, idąc w głąb kuchni.

Ramsdell, nim udał się do pentry, odnalazł Martina, z którym wrócił z miasta, i poprosił go, by dyskretnie usunął z szalupy paliwo, a to co jest w baku, ograniczył tylko do ilości potrzebnej na zapalenie silnika.

- I przygotuj do spuszczenia na wodę drugą szalupę - powiedział na koniec.

- Cóż ty znów kombinujesz? - dziwił się Martin.

- Zdaje się, że ktoś będzie chciał nam ukraść szalupę i trzeba zabawić się w ściganie złodzieja.

- Kto?

- Biały Diabeł.

Martin nie pytał już o nic więcej i Ramsdell był mu wdzięczny za zaufanie. W mesie byli już: radiooficer Knox, jeszcze obolały po pijackiej nocy, Scarron, chodzący tam i z powrotem, Duun, patrzący ponuro. Nikt nic zdradzał ochoty do rozmów. Kiedy Ramsdell stawiał przed członkami załogi pierwsze talerze z baraniną, do mesy weszła Lili, promienna, spokojna, za nią Achrem, uśmiechający się, jakby za chwilę miał zakomunikować, że „Oban” wpływa do portu i za miesiąc wraca do kraju.

- Jakie wieści przywozi nam pan z lądu? - Achrem powitał wesoło stewarda. - Nie potrzebują nowych twarzy w rządzie?

- Podwładni Obasanjo już obsadzili wszystkie ministerialne fotele, dla nas zostały tylko w oświacie i służbie zdrowia - żartował Ramsdell. Zwrócił się do Lili - ma pani pozdrowienia od przyjaciółki.

Lili ucieszyła się.

- I cóż u niej słyhać? Jest bezpieczna, nic jej nic zagraża?

- O to samo i ona pytała, myśląc o pani.

- Kochana Harriet!

- Na lądzie jest spokój - mówił Ramsdell. - Daj nam. Boże, taki spokój na statku.

Achrem zdziwił się.

- Sądzi pan, że u nas może się jeszcze coś przykrego wydarzyć?

- Li - usłyszała za sobą - niech się pani niczym nie zamartwia. -

Odwróciła się, opodal stał Ramsdell. - Jestem po to, by panią obronić.

Łagodność i czystość spojrzenia zmieszały go.

- Przed czym chce mnie pan bronić?

Jej piękność, powaga wzruszyły Ramsdella.

- Nikt się nie dowie, w co pani była wplątana.

Uśmiechnęła się.

- Wyznałam całą prawdę o sobie mężowi - powiedziała.

Nie udało mu się ukryć rozczarowania. Szlachetna Li, tak szlachetna, że w żaden sposób nie można kupić jej względów.

- Trudno, stało się - kapitulował. - Chciałem jak najlepiej, zamierzałem bronić to, co najlepszego w pani, przed tym, co najgorsze na statku, na redzie.

- Dziękuję za intencje.

Nie odchodził.

- Proszę mi powiedzieć, czy ma pani pełne zaufanie do swej przyjaciółki, do jej męża? - mówił powoli, jakby wahając się, czy w ogóle jest sens zadawania tego typu pytań.

Zastanowiła się.

- Męża Harriet prawie nie znam, tyle co z opowiadań.

- Podejrzewam go o najgorsze - wyznał Ramsdell. - Jeśli nie Bestry był Białym Diabłem, to musi nim być ktoś inny. Może Wyatt?

Milczała.

- Czy Bestry nic wspominał przy pani o Wyatcie? Albo o Białym Diabie?

Przez twarz Lilii przesunął się cień rozdrażnienia. - Naprawdę z Bestrym niewiele rozmawiałam. Jego interesowały tylko pieniądze.

- Co z nimi robił?

- Nie mam pojęcia.

- Woził do miasta?

- Nie, chyba nie.

- Wysyłał do kraju?

- Naprawdę nie wiem. - Podniosła głos. - Ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby je oddawał jakiemuś szantażyście. Od pewnego czasu, dało się to odczuć, Bestry wciąż czegoś czy kogoś bał się.

- Białego Diabła? - spytał Ramsdell.

- Nie rozmawialiśmy na ten temat. Myślę, że nawet gdybym go o to pytała, nie powiedziała by mi prawdy.

Słońce dotknęło linii horyzontu, za kilka minut reda z kotwiczącymi statkami przesunie się w noc, w gęstą ciemność.

- Wierzy pan, że o tej porze policja jeszcze przybędzie? - spytała, patrząc na zapalone światła pozycyjne statków.

- Nie, na pewno nie - powiedział. - Bo wcale nie miała takiego zamiaru.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Dużo pan jeszcze nakłamał?

- Nie żałowałem sobie - roześmiał się.

- I po co? Czemu to ma służyć?

- Przyznam się, że sam jestem trochę rozczarowany. Spodziewałem się jakiejś reakcji, a tu tymczasem nic! - Zastanowił się. - Może trzeba tego lisa wykurzyć z nory. - Ścisnął rękę Lilii. - Dziękuję.

- Za co?

- Pomogła mi pani. - Znow roześmiał się. - Zabawne, to ja chciałem pani dopomóc, tymczasem stało się inaczej, pani mnie pomogła. Dzięki.

- Pomogłam? W czym?

- Oczywiście w myśleniu - mówił coraz szybciej. - Proszę wracać do mesy, do towarzystwa. Najlepiej niech pani będzie w pobliżu męża. Po zapadnięciu nocy niebezpiecznie pozostawać na pokładzie.

Pobiegł na mostek. Lilii zignorowała jego radę, nie szła do mesy, wciąż stała przy relingu i patrzyła w gęstniejący mrok.

Ramsdell wyciągnął Duuna ze sterówki, gdzie było kilku nudzących się marynarzy, między innymi bosman Minturn, radiooficer Knox, mechanik Martin, i poszedł z nim na skrzydło pomostu kapitańskiego.

- Mam prośbę.

- Ty? Do mnie? - zdumiał się Duun, który czuł głęboką niechęć do stewarda, z nieokreślonych powodów, ale tak już na redzie bywa, że albo się



kogoś lubi, albo nienawidzi. - Czego chcesz?

- Nie wiem, jak to zrobić, ale załoga musi uwierzyć, że płynie do nas policja.

- Dlaczego musi?

- Niestety, nie mam czasu odpowiadać na twoje pytania. Jeśli zrobisz coś, co ich przekona, że płynie do nas policja, zapłacę ci.

- Ile?

- Sto dolarów.

- O, nieźle.

- A więc.

Duun miał jeszcze wątpliwości.

- A jak się dowiemy, że przekonaliśmy ich?

- Ktoś będzie chciał uciec ze statku.

Duun zaczął się czegoś domyślać.

- Ramsdell, ty nie od parady masz głowę - mruknął z podziwem w głosie.

- Zaczynam wierzyć, że uda ci się znaleźć mordercę.

- No więc, umowa stoi?

- Stoi - zgodził się Duun.

Drugi oficer zwrócił się w stronę sterówki.

- Halo, podajcie lornetkę. Zdaje się, że ta łódź do nas płynie.

Nie czekając, aż ktoś poda mu lornetkę, sam sięgnął po nią, wyjmując z korytka przy bulaju.

- Do licha, już za ciemno.

Marynarze wylegli na pomost.

- Gdzie? - pytali. - Gdzie ta motorówka?

- Cwaniacy - mówił Duun - chcą podejść do nas niepostrzeżenie. - Oderwał od oczu lornetkę. - Spróbuję ich znaleźć na radarze..

Wszedł do sterowni.

- Włączyć radar - polecił marynarzowi. - Zanim się nagrzej, szalupa schowa się za jakiś statek.

Był spokojny, na radarze powinien znaleźć jakiś poruszający się po redzie punkt; jeśli statek opuszczał port, musiał wypływać z pilotem, a jeśli wchodził na redę - na pewno zainteresują się nim tubylcy, handlarze,

prostytutki.

Ramsdell rozejrzył się po sterowni, wyrzwał na zewnątrz. Serce zabiło mu mocniej, tak jak przypuszczał, udało mu się wreszcie wykurzyć lisa z nory.

Wychylił się, tak by zobaczyć szalupę „Obana” przywiązaną do trapu. Ciemna sylwetka, coś dźwigająca, pospiesznie opuszczała statek.

- No i jak? - spytał Duun.

- Masz u mnie sto dolarów.

- O, to są najbardziej nieoczekiwane zarobione pieniądze i najdziwniej, bo najlżej - powiedział. - Gdzie jest ten zbieg? - spytał.

Ramsdell wskazał na szalupę. Teraz i Duun dojrzał ciemną postać już stojącą nad silnikiem szalupy.

- Robię alarm - postanowił Duun.

- Nie, po co? Lepiej każ na wodę opuścić drugą szalupę. Daję ci słowo, że nam nie umknie. Aha, i przygotuj reflektory. Włączymy je za chwilę, gdy uciekinier już odbije od burty statku.

- Kapitana powiadomić?

- Jeszcze nie, musimy mieć pewność, że tamten w szalupie naprawdę chce nam uprowadzić łódź.

- Mało masz dowodów?

- Jakich?

- Siedzi w łodzi, włącza silnik!

- A skąd wiesz, czy nie poszedł tam coś sprawdzić, naprawić, by jutro łódź była gotowa? Zrobisz alarm i co mu udowodnisz?

- Ramsdell - rzekł z podziwem Duun - wciąż się głowię, co ludzie z takimi głowami, jak twoja robią na tej cholernej redzie!

- Bawią się - zaśmiał się steward, który miał powody do zadowolenia.

- Uważaj, bo takie zabawy bywają niebezpieczne.

- Niebezpieczeństwo groziło mi kilkanaście godzin temu, teraz jestem o siebie spokojny.

Z dołu rozległ się terkot zapuszczanego silnika. Po przeciwnej stronie jęknęły windy opuszczające szalupę.

Łódź odbiła od burty, wsunęła się w gęstą noc jak pod kołdrę puchową. Radiooficer Knox sprawdził ustawienie reflektorów, czekał na polecenie ich włączenia. Duun powiadomił telefonicznie o wydarzeniu kapitana Achrema. Zewnętrznym trapem, robiąc wiele hałasu, wbiegł na mostek Scarron.

- Kto płynie do miasta o tej porze? - spytał. - Czy nie można było mnie o tym powiadomić? Dałbym pilną korespondencję do wysłania.

- Włączcie reflektory - padł rozkaz.

Dwie smugi reflektorów rzuciły się w ciemność, zaczęły szperać po powierzchni wody. Radiooficer bez większego trudu odnalazł poszukiwaną szalupę. Jeszcze płynęła w głąb zatoki, jeszcze miała dość paliwa, ale Ramsdell wiedział, bo ufał mechanikowi, że są to ostatnie minuty pracy silnika, za chwilę zabraknie paliwa.

- Czy na dnie szalupy nie leży coś? - zapytał Knox. - Podajcie lornetkę.

Kapitan Achrem poznał pierwszy.

- To moja żona - rzekł głucho.

Ramsdell wziął od niego lornetkę, przyjrzał się mężczyźnie przy sterze. Niestety, siedział tyłem do statku, nie można było go poznać.

Zza zaoblenia dziobowego „Obana” wyszła druga szalupa z Duunem, Martinem i kilku marynarzami.

- Nie dopędzą - twierdził Scarron. - A nawet jeśli im się uda, to co zrobią? Tamten ma zakładniczkę.

Ramsdell łamał palce, denerwowały się. Ostrzegał Li, a jednak stało się to, czego się obawiał: lis przechytrył Ramsdella. Ramsdell miał wobec niej i Achrema wyrzuty sumienia. Przecież głównym sprawcą wydarzeń ostatnich był on, Ramsdell! Gdyby nie opowiadał o płynącej policji. Lili nic by nie groziło, a tak jest zdana na łaskę i niełaskę draba, który być może jest Białym Diabłem!

Myśl ta przeraziła go.

Achrem znów podniósł do oczu lornetkę. Szalupa kołysała się na martwej Tali, nie posuwając się do przodu; silnik zgasł.

Tymczasem druga szalupa, ścigająca, podpłynęła do tamtej. Reflektory oświetlały jedną i drugą. W pewnej chwili twarz uciekającego znalazła się w smudze światła. Achrem właśnie trzymał lornetkę przy oczach.

- Mintum, bosman Mintum! - stwierdził.

Ramsdell nie był tym odkryciem zaskoczony.

- Można się było tego po nim spodziewać - rzekł.

Szalupa z Durniem zaczęła się ocierać burtą o burtę szalupy z Mintumem. Bosman skoczył do Lili, chwycił ją mocno w ramiona, przytknął nóż do jej piersi.

- Nie próbujcie przechodzić na moją szalupę - ostrzegął. - Zabiję ją! - szantażował.

Martin:

- A cóż takiego zrobiłeś, Mintum, że się nas boisz? Odbiło ci? Wielu marynarzom na redzie odbija. Wskakują wtedy do łodzi i płyną, gdzie ich oczy niosą. Czy to aż tak wielkie przestępstwo? Nie popełniaj zbrodni, Mintum. Po co?

Mintum:

- Dajcie mi paliwo i wracajcie na statek - zażądał.

- Bez żony kapitana? - zachnął się Duun. - Wyobrażasz sobie, jakby nas przywitał?

Mintum zastanowił się.

- Dajcie paliwa, puszczę żonę kapitana.

Duun:

- Mówisz coraz rozsądniej.

Mintum:

- Podajcie kanister.

Duun:

- A jaką mamy gwarancję, że pani Lili przejdzie na naszą szalupę?

- Słowo bonom - zapewnił Mintum.

- Mało przekonywający argument - stwierdził Duun.

Mintum:

- Więc co proponujesz?

Dunn:

- Pani Lili stanie na burcie. Pozwolisz jej przejść na naszą szalupę, gdy będziesz trzymał w ręce kanister.

Mintum zastanowił się chwilę.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Zbliźcie się. Tylko bez kawałów, bo zadźgam ją.

Szalupy zbliżyły się do siebie, Mintum stanął nad burtą z Lili, czekał, aż Duun podejdzie z kanistrem; z prawej ręki nie wypuszczał noża.

- Niech pani Lili poda rękę Martinowi - polecił Duun. - A ty trzymaj kanister. - Proszę uważać, by nie stracić równowagi - ostrzegł Duun.

W momencie, kiedy burty szalup ocierały się o siebie, Martin szarpnął Lili za rękę i ta znalazła się w jego ramionach. Bosman Mintum w tym samym czasie chwycił kanister, lecz za słabo, niepewnie i gdy burty łodzi, podzucane martwą falą, zaczęły się odsuwać od siebie, pojemnik z paliwem wypadł między nie.

Bosman zaklął szpetnie.

- Przestań się wygłupiać - poradził mu Duun. - Nie masz żadnych szans na ucieczkę.

Mintum z rezygnacją opadł na ławeczkę przy silniku. Marynarze stanęli w szalupie w gotowości do przeskoczenia.

W mesie oficerskiej nie było już na czym siedzieć, gdzie stać. Kto mógł, przyszedł tu, by popatrzeć na Mintuma, wysłuchać, co ma do powiedzenia na temat ostatnich wydarzeń na „Obanie” Ramsdell - detektyw-amator. Tylko Lili brakowało, była tak wstrząśnięta tym, co niedawno zaszło, że nie miała dość sił, by uczestniczyć w zebraniu. Do kąta wsunął się kucharz Epifanio i niepewnie spoglądał od czasu do czasu na bosmana.

Steward Ramsdell uderzył łyżeczką w szklanę, choć to było wcale niepotrzebne, bo wszyscy tylko czekali na jego wystąpienie.

- Panowie - zaczął - powierzyliście mi sprawę wykrycia mordercy Bstry'ego Cowpera. Kiedy się podejmowałem roli detektywa, nie mogłem wiedzieć, że sprawa będzie znacznie trudniejsza, bo niejedna zbrodnia się tu dokonała, nie jedno przestępstwo.

- Znaleźliśmy się - mówił dalej po nabraniu oddechu - w epicentrum zła. Tak, panowie, to nie przesada. Wiem, co mówię. Wszystkie siły złe, przestępcze jakby się zmówiły i wybrały nasz statek.

Marynarze zaczęli się niecierpliwić, popędzać stewarda, by mówił do rzeczy, a nie moralizował.

Uciszył ich.

- Wyjaśniam tylko, że nie o zabójstwo Cowpera tu jedynie chodzi. Na statek nasz śmierć zaglądała trzykrotnie, były też próby zabicia innych osób, ginęły rzeźby „strażników zmarłych”, wreszcie - w naszym sąsiedztwie utonął statek.

Sięgnął po szklankę z wodą.

- O czym chcecie usłyszeć na początku? - spytał łaskawie.

- Kto zabił Cowpera? - rzucono pytanie z sali.

Ramsdell ze zrozumieniem skinął głową.

- Oczywiście, że od tego należy zacząć. Ale żeby zrozumieć motyw zbrodni, trzeba wiedzieć, kim był Bestry Cowper.

Kapitan Achrem, przygotowany na bezwzględną szczerość Ramsdella, z rezygnacją zwiesił głowę. Oto ku uciesze wszystkich Ramsdell opowie o przeszłości Bestry'ego Cowpera, o jego związku z Lilią, ich romansie. Lecz stało się inaczej. Ramsdell przemilczał romans Lilią z Cowperem, opowiedział tylko o Cowperze i Pearlle, jej ojcu, Maribou, jego pragnieniu zemsty.

- Bestry Cowper został zabity przez Maribou - rzekł Ramsdell.

Motywy były przekonujące, nikt ich nie kwestionował.

- Szkoda, że nie może tego poświadczyć Maribou - odezwał się Duun. - Kto jego zabił?

Ramsdell zwrócił się do bosmana, strzelił w niego wskazującym palcem.

- On.

- Ale dlaczego?

- Niech sam nam powie.

Bosman milczał.

- Na statek przyszedł razem z trzecim oficerem z „Kalipso”. Był jedynym człowiekiem, który znał ponurą przeszłość Cowpera, z czego czerpał niemały dochód. Z kolei jedynym człowiekiem, który za wiele wiedział był Maribou, agent policji, od dawna deptający po piętach Cowperowi i Mintumowi. Więc trzeba było go usunąć.

Szmer oburzenia przeszedł przez salę.

- Był jeszcze inny powód - dodał Ramsdell. - Cowper miał paskudną opinię, ktoś dorabiał mu przydomek Białego Diabła, choć on nim nie był. Przywłaszczając sobie to przydomek, bosman liczył na poważne zyski. Zaczął od szantażowania nim mnie, od szukania pieniędzy po Cowperze, jakie rzekomo ten miał zostawić, na co wskazywała notatka w jego kalendarzu.

- Jeśli nie on był Białym Diabłem, to kto? - spytał Martin.

- Ten, kto organizował w świecie katastrofy statków - odparł Ramsdell.

- Kto nim jest? - dociekał mechanik.

- Gruba ryba, znacznie grubsza od jakiegoś tam marynarza.

- Znasz jego nazwisko?

Ramsdell wstrzymał się od odpowiedzi.

- Przyznaj się, że nie wiesz, kto nim jest.

- Wiem - powiedział Ramsdell - ale dla dobra sprawy nie mogę w tej chwili powiedzieć.

Scarron:

- Ramsdell, a jak pan wytłumaczy napaść Maribou na mnie?

- Pomyłką. Stary Maribou miał słaby wzrok - Pomylił się, kiedy wziął „strażnika zmarłych” z izolatki. To nie był ten, którego szukał. Siedział pan w fotelu, wziął pana za kogo innego.

- Dlaczego w ogóle napadł?

- Chciał zdobyć właściwego „strażnika zmarłych”. To był jego moralny obowiązek wobec zmarłych krewnych. Szukał go po całym statku.

- Napadnięto na mnie po raz drugi u chiefa Deca.

Ramsdell zwrócił się do bosmana.

- Mintum, to ty założyłeś maskę kalebue, wykradłeś „strażnika zmarłych” z kabiny Deca i napadłeś na kapitana Scarrona. Zdaje się, że też się pomyliłeś, chciałeś przestraszyć Deca, który sporo o tobie i trzecim oficerze wiedział, a jeszcze więcej się domyślał.

Bosman nie zaprzeczał.

- On - wskazał na bosmana - wszedł już w rolę Białego Diabła. Nie miał pojęcia, dlaczego „strażnik zmarłych” powinien zginąć, ale domyślał się, że

fakt ten wywołała na statku zamieszanie. A w zamieszaniu łatwiej działać.

Achrem z uznaniem skinął głową.

- Jak dotąd wszystkie wydarzenia tłumaczy pan w sposób niepodważalny. A czy ma pan jakieś wyjaśnienie śmierci chiefa Deca?

Ramsdell zawahał się.

- Popełnił samobójstwo - rzekł w końcu. - Od dłuższego już czasu tracił panowanie nad swymi nerwami. Był niezrównoważony. Przechodził kryzys po kryzysie. To był nieszczęśliwy człowiek.

Scarron przytaknął głową..

Achrem wstał.

- Ramsdell, spisał się pan znakomicie. Zaskoczył nas pan, wszyscy jesteśmy zdumieni tym, do jakich pan doszedł wniosków. Gratuluję panu. Pozwoli pan, że w imieniu załogi i własnym uścisknię panu dłoń z serdecznym podziękowaniem. Uwalnia nas pan od lęku przed złem. Czy przyjmuje pan zaproszenie na szklanekę whisky?

Ramsdell nie odrzucił propozycji.

- Panie kapitanie - zwrócił się Achrem do Scarrona - zapraszam i pana. - A potem do Duuna: - Bosmana zamknijcie w magazynku. Zwiążcie go. Zajmiemy się nim jutro.

Kiedy mężczyźni weszli do salonu kapitana, Ramsdell od razu zauważył brak „strażnika zmarłych”.

- Boże! - jęknął. - Trzeci „strażnik zmarłych” zginął.

Kapitan Achrem pobladł.

- Li! - krzyknął.

Pobiegł do sypialni, zajrzał do łazienki, do pentry. Nigdzie nie znalazł żony.

- A więc szedłem fałszywym tropem - przyznał się Ramsdell z poczuciem klęski. - Kapitanie, to moja wina, sądziłem, że pańskiej żonie już nic nie grozi. Stało się inaczej. Trzeba natychmiast coś zrobić.

Załamany Achrem opadł w fotel, schował twarz w dłoniach.

- Alarm, zrobić alarm - przejął inicjatywę Scarron.

- Tak - zgodził się Ramsdell. - Alarm. I zatrzymać kucharza. To podejrzany typ. - Pomyślał przez kilka sekund. - Dopiero teraz zaczynam



rozumieć milczenie tego ponurego draba!

Właśnie podnosił słuchawkę aparatu telefonicznego, gdy otworzyły się drzwi z korytarza i weszła Lili.

- Li! - zawołał radośnie Achrem i rzucił się w jej stronę z wyciągniętymi ramionami. - Martwiliśmy się o ciebie. Czy na pewno nic ci się nie stało?

Spojrzała na męża trochę rozbawiona.

- Czy znów mi coś groziło?

Achrem opisał wejście do salonu, dostrzeżenie brakującego „strażnika zmarłych” i rodzące się podejrzenia, że Biały Diabeł działa nadal.

Lilii roześmiała się.

- Poszłam wyrzucić za burtę „strażnika zmarłych” - wyjaśniła. - Dość przez nich mieliśmy kłopotów. Stary Maribou miał rację, że nie przynoszą one szczęścia żywym.

Kapitan Achrem napełnił szklanki whisky.

- Ramsdell - powiedział, wznosząc szklankę - dziękuję panu za to, co pan odkrył, a także za to, co pan przemilczał.

Scarron chrząknął.

- Czy to jakaś aluzja do mnie może?

- Ach nie - zapewnił Achrem. Stuknął szklanką o szklankę stewarda. - Wie pan, John - po raz pierwszy zwrócił się do niego po imieniu - nie darzyłem pana sympatią. Nie wiem dlaczego, ale nie lubiłem pana. Przepraszam. Dużo panu zawdzięczam. Chcę mieć w panu przyjaciela.

Ramsdell stuknął swoją szklanką w szklankę kapitana.

Podeszła do nich Lili.

- Czy pozwoli pan, John, że podziękuję za wszystko?

Wspięła się na palcach i pocałowała go w policzek.

- Dla takich oznak wdzięczności warto było ryzykować karkiem - wyznał Ramsdell. - Będę się modlił, by znów coś się na tej nudnej redzie wydarzyło.

Scarron:

- Przecież jeszcze nie został ujęty Biały Diabeł.

Ramsdell:

- Nim prawdopodobnie już zajął się detektyw Bill. - Zwrócił się do Lilii. - Pamięta go pani? Ten, który za panią chodził po mieście. Trochę mu pani też

zawdzięcza, bo dzięki niemu nie miała pani wówczas większych kłopotów, a i teraz chyba zajmie się poważniejszymi sprawami niż jakiś mały, nielegalny handelek - uśmiechnął się do niej, mrugnął porozumiewawczo do Scarrona.

Achrem udał, że nie rozumie, o co chodzi.

Scarron:

- Ma pan moją dozgonną wdzięczność.

Ramsdell wypił, uśmiechnął się.

- Wdzięczność wdzięcznością, panowie, ale poniosłem pewne koszty. Nie są one wysokie, ale nie uważam, że powinienem je pokrywać.

- Słucham - zachęcił Achrem.

- Sto dolarów dla Duuna.

- I to wszystko? - zdziwił się Scarron.

- Jak, wszystko.

- Najtańszy detektyw! - zaśmiał się Scarron i sięgnął po portfel. - Założę się, że na świecie nie ma tańszego.

Ramsdell nie słuchał Scarrona, siedział na wprost Lili, patrzył w jej piwne oczy, w oczy łagodne, spokojne. Czuł się człowiekiem szczęśliwym, godnym miłości pięknej kobiety.